SKI ZWIĄZEK

WŁADYSŁAW JANTA-DOŁCZYŃSKI

ŚWIĘTY EUSTACHY

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr 2057

Wł. Jan Ta. Potrzyński.

Illustrował

LEON PRAUZIŃSKI

LSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. [illegible]
2057.

ŚWIĘTY EUSTACHY

POWIEŚĆ MYŚLIWSKA

Wspomnienia z życia leśnika
z ostatnich chwil panowania niemieckiego w Kaszubach

Tegoż autora wyszły opowiadania myśliwskie:

Estetyka łowiectwa.
Polująca pani.

W druku:

Ramoty myśliwskie.

W przygotowaniu:

Spółka myśliwska.
Karczma pod wilkiem.
Obraz dramatyczny z życia leśników.

WŁADYSŁAW JANTA-POŁCZYŃSKI

ŚWIĘTY EUSTACHY

WYDANIE DRUGIE.

POZNAŃ 1928 r.
Nakładem i czcionkami drukarni „Przeglądu Leśniczego i Rynku Drzewnego" w Poznaniu.

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr 2057

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr 2057.

SŁOWO WSTĘPNE.

Pisanie przedmowy do książki Władysława Janty-Połczyńskiego uważam za wielki zaszczyt. Rzadko który bowiem z pisarzy łowieckich w Polsce był tem dla myśliwstwa, czem był przez całe swoje niesłychanie czynne i pracowite życie czcigodny Nestor myśliwych wielkopolskich. A przytem bujny, młodzieńczy temperament, cechujący każdy czyn i każde słowo Autora „Estetyki łowiectwa" i „Pani polującej", stawia Go bezspornie śród najzasłużeńszych i najpożyteczniejszych działaczy na polu krzewienia kultury myśliwskiej w Polsce.

Każdy czyn i każde słowo Władysława Janty-Połczyńskiego cechuje dostojna szlachetność i pogodny, nie zgryźliwy, uśmiechnięty humor... I dlatego dzieła tego wielkiego działacza, świetnego organizatora i utalentowanego pisarza nie potrzebują być polecane Czytelnikom i mówią same za siebie.

To też każdy, komu drogie jest łowiectwo nasze, bierze te książki do ręki z rozkoszą. Niezrównana „Pani polująca" zostanie na zawsze w naszem piśmiennictwie. W książce „Św. Eustachy" bohaterami są dwie pasje najszlachetniejsze ludzkiego żywota, dwie najpotężniejsze namiętności: Soból i Panna, a raczej Soból i Panny.

Lecz nie należy uprzedzać Autora. Dajmy mu głos — i słuchajmy...

JULJAN EJSMOND.

Nadleśniczówka Państw. w Kartuzach.

I.

— Proszę czekać! Odezwał się głos basowy w tonie żołnierskiej komendy.

Miałem więc czas rozejrzeć się po obszernej izbie kancelaryjnej królewskiego nadleśnictwa kartuzkiego.

Nie tak przedstawiałem sobie — młody praktykant — miejsce przyszłego działania. W duszy mojej pełnej ideału, zapału do pracy i zawodu, fantazji młodzieńczej, nieświadomości życia, zobrazowałem sobie przybytek przyszłej działalności zdobny w ilustracje różnorodnej flory leśnej a może i w trofeja i przyrządy myśliwskie, w rogi, trąby i kordelasy, do którego przez otwarte okno wpada szum stuletnich dębów i jodeł, a z iglic ich — rozkoszny zapach ozonu. Inaczej też przedstawiałem sobie mojego przyszłego szefa i wychowawcę.

W całej izbie zajętej od dołu do góry regałami i półkami zbitemi z prostych desek, zapełnionemi

mnóstwem różnych rejestrów i foljałów kancelaryjnych symetrycznie ułożonych i żółtymi wisiorkami zaopatrzonych, panowała surowa prostota. Pijany jakiemiś iluzjami i ideałami otrzeźwieć tu musiał odrazu.

Jedyną ozdobę stanowił obraz Bismarka, sztych marny w marniejszej jeszcze ramce. Najbardziej wszakże rzucającym się w oczy estetycznym okazem tego przybytku była fajka pana Forstmeistra Rumbauma z podobizną kajzera Wilhelma I., którą trzymał w zębach, a z której wydobywał się właśnie haniebny i duszący zapach knastru. Zamiast spodziewanego ozonu, była owa woń, jaką się miałem w przyszłości codziennie napawać i nią oddychać.

Pan Forstmeister Rumbaum siedział na środku pokoju przy długim stole, zarzuconym aktami, szperał w nich, mruczał i chrząkał, wypuszczając obłoki kadzidła, jak się zdaje ziemiorosłej kaszubskiej produkcji. Mnie kazał czekać. Stałem więc i czekałem.

Jak sądzić było można, szef król. nadleśnictwa, nie zwracał zbyt wielkiej uwagi na własną powierzchowność w godzinach rannych, nie pozował widocznie też artyście do obrazu, a z podwładnymi nie robił ceregieli. Przybrany był w wytarty szlafrok, a nogi ozdabiały nie mniej zużyte pantofle, kanwowa robota, może jeszcze przedślubna kochającej narzeczonej a obecnie już poważnego wieku małżonki. Obok stołu, wyprostowany i w ściśle opiętym, zielonym mundurze leśnika, stał mężczyzna, szósty może już krzyżyk dźwigający na barkach, z brodą dobrze szpakowatą, z twarzą dobroduszną, nie pozbawiony jednak pewnej satyry, która przeglądała z jasnych,

niebieskich jego oczu. Wzrok jego padał to na przełożonego, to znów na rozłożony przed nim papier a lekki, filuterny uśmiech błąkał się po twarzy.

— Likwidacja kosztów powstałych z zastępstwa chorego kolegi — odezwał się głos basowy od stołu — może być tym razem uznaną, oczywiście po skreśleniu 3 mk. 55 fen. za reperację uszkodzonego ubrania, która to pozycja jest umieszczona w rachunku.

— Skreśliłem, panie Forstmeister, jak odemnie żądano, ale rzeczywiście niesprawiedliwie, przecież szkodę tę poniosłem, że tak powiem w służbie.

— Tu niema handlu łokciowego, w którymby targować się można panie Jahnke, tu jest biuro urzędowe państwowego leśnictwa. I to spamiętaj sobie na przyszłość, panie Jahnke, iż królewsko-pruskiemu urzędnikowi rachunku za reperację podartych spodni likwidować nie wolno.

— Pan Forstmeister raczy rozważyć jeszcze, iż na rozkaz przełożonej władzy udałem się do Kienbruch i tamże w królewskiem biurze urzędowem zostałem ugryziony w nogę przez Waldmana, jamnika kolegi, a więc, że tak powiem, urzędowe zwierzę, poniosłem cierpienie i szkodę na ciele, których nie liczę — bo ostatecznie uczynione obrażenie bez pomocy chirurga się zagoiło, ale poniesioną stratę w materjale, popartą i udowodnioną rachunkiem krawieckim w wysokości marek 3 i fenigów 55 zlikwidować uważałem, że tak powiem, za odpowiednie i sprawiedliwe.

Przemówienie to, jak się zdaje poprzednio dokładnie wystudjowane i wyuczone, wycisnął pan Jahnke ze siebie jednem tchem.

— Zum Deubel! Już dosyć panie Jahnke! Nad sprawą, którą pan piłujesz po raz drugi, możemy obecnie przejść do porządku dziennego, t. j. ja do moich akt, a pan do swojej służby.

— Punktum!

Po takiem diktum Jahnke chwycił za czapkę, spojrzał na przełożonego, zerknął zyzem na mnie jakoś dziwnie śmiejąco i wyszedł — pozostaliśmy sami. Teraz Rumbaum zwrócił się do mnie:

— Pan jesteś przysłany jako praktykant leśny.

— Tak jest, panie Forstmeister!

— Studja odbyłeś?

— W Eberswaldzie.

— Jak się właściwie nazywasz?

— Drożdżyński.

— Jak?

— Eustachy Drożdżyński do usług.

— So heisst Herr Deubel in der Hölle nicht! (Tak chyba pan djabeł w piekle się nie nazywa).

— Tam nie posiadam krewnych, panie Forstmeister, odrzekłem ze spokojem. W tej chwili poczułem na sobie wzrok, w którym się mieściły wszelkie zawartości wynalazku Schwarza, zasłonięty wkrótce gęstymi kłębami fajczanego dymu, jak krater wulkanu przed nowym wybuchem.

Chwila milczenia.

— Gdzie się pan rodziłeś?

— Z Prus Zachodnich pochodzę i w tucholskim się rodziłem.

— Czart chyba przysłał nam tu człowieka z nazwiskiem, przy którem trzy razy kichnąć i język złamaćby można, zanim się je wymówi.

— Nie czart, panie Forstmeister, tylko król. zarząd lasów państwowych w Kwidzynie.

Widząc, iż wszystkie cięcia jakoś z dobrym skutkiem odbijam, zaczął z innego tonu.

— Służyłeś pan wojskowo?

— W Hirszbergu u strzelców, panie Forstmeister.

— To powinieneś znać respekt dla przełożonych.

— Tak jest, ale tam nazwiska mego nikt nie postponował.

Pan Rumbaum wstał i zaczął się przechadzać. Widocznie zabrakło mu na razie stósownego tematu do dalszych działań agresywnych. Nagromadzona elektryczność wyładowała się i zbiegła jak po konduktorze po moich argumentach a przedewszystkiem zimnym spokoju.

— I ja pańskiego nazwiska niechcę postponować — odezwał się znów stanąwszy u stołu, ale nie możesz wymagać, ażebym sobie jak papudze dał język podrzynać dla ciebie. To jest polskie nazwisko, które chyba Polak tylko umie wymówić. Jakby ono brzmiało in gut Deutsch przetłomaczone.

— Może Hefer?

— Widzi pan — jakie to piękne. Hefer inaczej to brzmi jak owo szesnasto — spółgłoskowe. Nazwij się pan Eustachius Hefer, ich werde es befürworten, ale Drosch, Drisch, chyba jaki ptak na gałęzi może wygwizdać.

— Dziękuję, panie Forstmeister, ale tak się nazywa mój ojciec i tak się pisał mój dziad, wszystko zacni ludzie, tak i ja pozostanę.

— Jak pan chcesz, ale daleko nie zajdziesz.

— Kto tam zgadnie, panie Forstmeister. Ojciec mój jest 30 lat nadleśniczym u księcia S. Wola Boża. Homo proponit — Deus disponit. Wreszcie i zdolności też coś znaczą. A w duszy powtórzyłem jeszcze pamiętne słowa kanonika krakowskiego: „fortuna variabilis".

Władca i tyran nadleśnictwa kartuzkiego chodził jeszcze przez pewien czas w okół stołu, widocznie zbierając myśli, czy na nową ofenzywę, czy na odwrót. Narazie nie można było odgadnąć. Wreszcie zatrzymał się i znów usiadł za stołem.

— Hm! Ojciec pana jest nadleśniczym mówiłeś, niezawodnie gdzieś w dalekiej Rosji?

— Nie, w północno-wschodniej Polsce, a właściwie na Litwie.

— Siadaj pan! Tu wskazał naprzeciw stołu stojące krzesło.

Forstmeister Rumbaum należał widocznie do tych grubych kloców, co rozsadzają się tylko grubym klinem. Należało mnie, akademicznie wykształconemu leśnikowi dawno to zaproponować, — myślałem sobie.

— Słuchaj pan, nie chciałbym synowi kolegi robić krzywdy i skoro skazani jesteśmy na wspólną pracę, należy się jakoś porozumieć. Nazwiska pańskiego nie wymówię po polsku, na starość też uczyć się nie będę, bo tego nie potrzebuję. Mówiłeś, że ci na imię Eustachy — a więc nazywać cię będę panem Eustachym, zgoda?

— Wedle rozkazu, panie Forstmeister.

— Zawakowała tutaj posada sekretarza leśnictwa i tę masz pan w zastępstwie objąć. Czas służby od

godziny 8-mej rano do 12-tej i od 2-giej do 7-mej. Jutro stawisz się poraz pierwszy. A więc do jutra.

Wstałem i skłoniłem się.

— Ale jeszcze jedno:.. Zawołał domnie trzymającego już klamkę u drzwi. Pragnąłbym, ażebyś unikał w urzędzie, czy też poza urzędem, możliwie polskiej czy kaszubskiej komitywy, — mówię to w pana interesie. Rozumiesz? Morgen!

Wyszedłem nareszcie i odetchnąłem z ulgą. Odetchnąłem pełną piersią, czystem powietrzem leśnem, fizycznie po nikotynowej infekcji płuc, moralnie — w duszy, po przebytem upokorzeniu. Z uczuciem goryczy opuściłem to miejsce pierwszego załamania się fantazji i moich migdałowych snów. W tych marzeniach młodzieńczych nie było ani złych, ani niesprawiedliwych i ordynarnych przełożonych, nie było nienawiści rasowych, nie było też ani niesprawiedliwości ani protekcji. Nastąpiło pierwsze, ale niestety nie ostatnie zderzenie się marzeń młodzieńczych z rzeczywistością życia.

Ale do smutnych rozważań nie nadawała się ta chwila. Wiosna roztoczyła właśnie cały swój urok, odnawiającego się życia. Powietrze drżało wibracją tonów brzęczących owadów, rzechotem żab z poblizkiego jeziora, świszczących i śpiewających ptaków na drzewach, ową orkiestrę wiosenną Cerery, — witającą powracającą na łono matki, utraconą Prozerpinę. Corocznie ją przeżywamy, corocznie ją słyszymy, a jakże ona zawsze nową i świeżą, jakże cieszy nas i zachwyca. Natura przyoblekła sioła w jasno złocistą zieleń, ogrody okryły się ślubną, dziewiczą szatą. Czereśnie, jabłonie

kwitły w obszernym sadzie nadleśnictwa, kasztany wysunęły na szerokich liściach białe kielichy — jak świece na szmaragdowych kandelabrach, roznosząc rozkoszną i ożywiającą woń.

Obszerne dworostwo nadleśnictwa zasłaniały stare, stuletnie lipy, pełne świeżych, pachnących pączków. Pierwsze, młodociane gatunki tych lip, patrzały niezawodnie na przemarsze wojsk napoleońskich i na tyle innych przejść, najwyższej nadziei i najcięższej doli, tej ubogiej, a jednak drogiej nam ziemi pomorskiej.

Kochana Ziemio kaszubska, biedna jesteś — i biedne są ziemie twoje — oprócz tych starych szumiących lasów i stu jezior zwierciadeł. Kwiecie wrzosu, to twoja cała ozdoba i bogactwo, ale miłość Ojczyzny, natura nieugięta, hart ducha jest u Ciebie — Bracie Kaszubie, twardy a wielki! — Tobie zawdzięczamy dziś wiele, wszystko prawie — okno na świat szeroki — wolny oddech na morze — płuca i oko — te dwa najważniejsze organa życia, którymi oddychać możemy i patrzeć w świat szeroki w lepszą przyszłość. Twojej woli silnej, twardej, kaszubskiej i Twojej mowie, posponowanej tak bardzo przez obcych i nieraz swoich, zawdzięczamy ten skrawek mały, a tak cenny. Gwaro moja! jakżeś Ty słodka dla nas dzisiaj! Naleciałości germańskie, to jakoby blizny na ciele języka, świadczące o Twych ciężkich zmaganiach z rzyżacką nawałą. Witałem Cię wówczas po wielu latach rozłąki i dzisiaj myśli moje z rozrzewieniem przenoszą się do tej chwili, gdy opuszczając zatrutą fizycznie i duchowo, wrogą nam atmosferę biurokratyzmu pruskiego, mogłem

znów powietrzem Twej ziemi odetchnąć — posłyszeć dźwięk mowy Twojej.

Legł ce ojc z mieczem w ręku, wojną bity w grobie,
Brat szed pod bołym orzłem zdobywać so świate
I, dzecko, ciebie nie znoł, ciel policzel brate,
A świat zabeł o kwrzywdzie twojij i o tobie.

I jak gąskas sę pasło prze wejadłem żłobie,
I cezy cę wegnele z progu twojij chate,
I błotem oczapele ce królewscie szate
I żywcem chcilec kopac w niestrojonym grobie.

A te biedne seroto w tak płaczliwij doli,
Niemo szłas między pola strzód maku i wrzosu,
I nawet nie umiałaś mówić, co cę boli,
Bo wstedzełas sę sama swygo w pierse głosu.

Jaż cę i przetulele szare wieście strzechc,
Bes dzelela jich mole smutci i uceche.

Od nadleśnictwa z przed obszernego zajazdu, ogrodzonego murem i sztachetami, prowadziła droga ku bramie, do której zwróciłem me kroki. Za bramą rozpoczynał się bity trakt do miasta Kartuz — krainy stu jezior — stolicy kaszubskiej. Jeszcze nie doszedłem bramy, gdy doleciała mnie znana dobrze z uniwersyteckich wspomnień, nuta hulaszczej piosenki niemieckiej: „So leben wir alle Tage, bei der lustigsten Saufkompanie" i jednocześnie prawie ukazał się młodzieniec, w prawej ręce niosący laseczkę ze srebrną gałką, którą takt do melodji wymachiwał. Z czoła wysunięta czapeczka okrążona kilku barwami i tak wstęga zdobiąca piersi oznaczały studenta, stowszenia Corpsów lub Burschenschaftów. Dalszą według tychże mniemania, była czarna taśm zana przez całą twarz, obok równoległe i

zabliźnionych kresek, świadczących jakiemu służyła celowi. Młodzieniec ten uzbrojony był nadto w binokle.

Zetknęliśmy się w samej bramie zajazdu.

— Pardon! zawołał na mnie głosem nosowym i plączącym się cośkolwiek językiem — pan jesteś, eh... co chciałem powiedzieć — pan jesteś z pewnością owym praktykantem, o którym mi papa powiadał, że ma przybyć.

— Tak jest! — czem mogę służyć?

— Jestem Rumbaum — Franz Rumbaum — w życiu tutejszem, eh... że się tak wyrażę, sielankowem - prywatnem, syn Forstmeistra z Kartuz, oficjalnie chargirter der berliner Borussen — rozumiesz pan!... jak sądzę, eh — mówię z comilitonen — Eberwaldzkim comilitonen, chociaż — ade... senniorem może.

— Tak jest, — byłem słuchaczem Eberwaldzkiej akademji, — i tu wymówiłem moje nazwisko.

— Z Corpsu „Deutsches Haus" naturalnie.

— Nie, panie kolego.

Co z „Baltenverein?"

— Ani z „Baltenverein".

Byłby wymienił może jeszcze „Corps der Feldjäger" i wszelkie inne tamtejsze Burschenschafty, według ich znaczenia towarzyskiego i klasowego, do coraz niżej stojących pospolitaków, gdybym mu nie był przerwał.

Do żadnego z Corpsów nie należałem, panie mbaum.

— Nie?! eh — Morgen! — i nie uważając mnie : żdaje wobec takiej minoris gentium godnym h rozhoworów, w majestacie swoim zwrócił się wi.

Gdy teraz po latach tylu przechadzam się ulicami grodu Przemysława i widzę znów wstęgi i kolorowe czapki studenckie — tym razem naszej polskiej młodzieży, staje mi w pamięci ów Hans Rumbaum z arogancką, wyzywającą miną.

Wywiązała się z pewnej strony krytyka przeciw zaprowadzeniu u nas barw Corpsów, zwyczaju jak mówiono, czysto pruskiego autoramentu; krytyka nie we wszystkiem uzasadniona.

Rzeczy dobre należy naśladować bezwzględu na to, skąd one pochodzą. Przeciwko celowi naszych korporacyj nieda się nic powiedzieć, wstęga i czapka kolorowa oznaczają ich reprezentanta, zrzeszenie się młodości i tężyzny narodowej, a nie ducha i właściwości obcoplemiennej; oznaka ta ma wszem i na każdem miejscu to przypominać. Przypominać nie tylko tym, co na nią patrzą, ale i tym, którzy ją noszą, iż reprezentują godność i honor swojego konwentu, czyli że wstęga ta winna być zawsze czysta i nieskazitelna. Nie pijaństwo, nie pojedynki, nie obcinanie sobie nosów i uszu sądzę a tem mniej zabójstwo należy wprowadzać do korporacji, ale postęp, naukę, miłość bratnią i ojczyzny, przedewszystkiem zaś dobre obyczaje, oto znamienne właściwości polskiego studenta.

Gdy pewnego wieczoru szedłem plantami uniwersyteckiemi, w pobliżu zamku, siedziała na osamotnionej ławeczce nadobna parka w czapkach studenckich, przytuleni do siebie, mimo letniego, ciepłego wieczoru. Przechodząc, myślałem sobie — jakie to praktyczne, — gdyby nie te czapeczki barwne, przypuściłby można, iż panna studentka, nie z „kolegą" ale z jakimś Antkiem

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. 2057/

zasiadła sobie do wieczornego flirtu. Z rozrzewniającą pieczołowitością, — jak się wyraził dziekan uniwersytetu, — otacza Wielkopolanka swoją Almę matris.

Bardzo pięknie, — tylko po cóż te filistry kręcą się po plantach. Ale ad rem.

Nie uszedłem jeszcze kilkudziesięciu kroków, gdy z tyłu świst i głośne: Panie kolego! — zatrzymało mnie na miejscu. Był to znany mi leśnik z kancelarji nadleśnictwa, — likwidator za uszkodzone inexprimable.

Jestem Jahnke — Hegemeister Jahnke — rzekł przybliżywszy się i podając mi rękę.

— Kolega daruje, iż czatuję tu na niego jak przydrożny rzezimieszek, ale wiedziałem, że jedną pójdziemy drogą — może do miasta, a może i dalej — bo widzi kolega, chociaż to dziwne — ale mi jakoś przypadłeś, że tak powiem, do smaku i do żołądka — a przedewszystkiem zaimponowałes mi nie dając się temu staremu skowyrze pożreć w kaszy. Nie upadłeś na gębę, odszczeknęłeś mu i to nienajgorzej.

— Komplement za komplement p. Hegermeistrze — i mnie zaimponowałeś swoją likwidacją, spowodowaną uszkodzeniem ubrania przez „urzędowe zwierzę", — ale jeżeli wolno się spytać — skąd mogłeś słyszeć moją rozmowę z Forstmeistrem, w pokoju nikogo nie było.

— Eh! to przypadek — rzekł uśmiechając się filuternie — słuchawka od telefonu w kancelarji była widocznie zdjętą, a ja czekając na kolegę tutaj, przy drodze stanąłem pod drutem przy słupie telefonicznym . . .

Pojąłem, podsłuchiwał filut.

— Ale niech kolega mnie zrozumie i o mnie źle nie sądzi, Forstmeister tak pełną gębą się wyraża — buczy jak bąk w roguziu, że i bez drutu słychać by go było na publicznej drodze. — Owa likwidacja, to też kpiny oczywiście na ich paskudną pedanterję i biurokratyzm. Pan nie znasz jeszcze starego Jahnkego. Kpi on z ludzi i drwi ze siebie, to jego zabawa, tragicznie tego brać nie trzeba. — Ale wie pan!... owe portki oni jednak zapłacili — co słuszne, to sprawiedliwe — policzyłem 3 mk. 55 fen. więcej za materjały piśmienne. Ha! ha!

I zaczął się śmiać, aż mu łzy pociekły po zarumienionych policzkach.

— Rad ja z towarzystwa pańskiego jestem, odrzekłem z serdeczną uprzejmością — a z objawionej sympatji jeszcze więcej, bo możesz mi tu służyć we wielu sprawach radą i pomocą i objaśniać też, czego nie rozumiem bardzo....

— Zgoda — ale wiesz co?... zapalmy cygaro — tu wyjął cygarniczkę — proszę.

— Nie — dziękuję, nie palę.

— To źle — nie lubię abstynentów, mężowie co nie palą i nie piją u nas w Bawarji (pochodzę, trzeba wiedzieć z pięknego kraju chmielu i słodu) są zawsze podejrzani, jako mruki i zcichapęki. Naucz się palić, to rozmowie daje, że tak powiem — odpowiedni nastrój, gładzi przeciwności, zabija nudy, wypełnia samotność. Fajeczka i cygaro, w moim wieku zastępuje wszystko: babę i jej konsolacją z wszystkiemi jej familjantami jak teściowe, ciotki, wujowie, et cetera... Dla dobra ludzkości napiszę jeszcze rozprawę na ten temat.

— Ale słucham, zaczynaj kolego.

— Przyznam się panu — począłem zwolna, namyślając się, jak mu tą rzecz najlepiej przedłożyć, nie narażając się i nie angażując zbytecznie — przybyłem tutaj z zupełnie innemi uczuciami, i innemi też wszedłem do biura się przedstawić, z innemi je opuściłem — przyjęto mnie tam i poruszono sprawy...

— Rozumiem kolegę — przerwał mi Jahnke, kładąc mi z poczciwym gestem rękę na ramieniu. — Pan jesteś Polakiem. Może się nie ze wszystkiem zgadzam, co się tu i gdzieindziej dzieje, niech tam według mnie każdy mówi, jak mu dziób wyrósł, niech się też każdy nazywa, jak mu na chrzcie świętym dano, a w urzędzie stanu zapisany, bo człowiek ostatecznie, że tak powiem, nie pies — ni Karo, ni Tref — aby przy zmianie właściciela, wabić go za innem mianem. Ja może też dawniej za młodu w inne odezwałbym się słowa, niż pan tam dzisiaj — możebym zamiast „dovn" zrobić wyszczerzył zęby i ugryzł jeszcze, ale... nauczyłem się w życiu wiele, przedewszystkiem milczeć, gdzie potrzeba, co też i panu radzę. — Politycznych kwestji nie będziemy tutaj poruszali, bo to się psu na budę zda. Vis major — panie kolego — ultima ratio....

Zastanowiła mnie ta łacina u tak prostego, jak się zdawało leśnika, ale ażeby zostać przy poruszonym temacie zauważyłem jeszcze:

— Pomijam więc polityczne kwestje, ale od osobistych nie jest król. kancelarja nadleśnictwa wolną i kolega też zauważyłem, musiałeś zjeść przy dzisiejszej audjencji kopę djabłów bez musztardy.

— Eh! kochany kolego — owych djabłów tak tragicznie u Forstmeistra brać nie można — to nasza niemiecka dobroduszność — i wy Polacy macie swoje: „psia krew", które używają nieraz bez potrzeby ludzie z wychowaniem, chociaż mówią z podobnemi sobie stworzeniami a nie z psami. U naszego Rumbauma zachodzą, że tak powiem, okoliczności łagodzące — „Zum Deibel" i „Herr Deibel" przywłaszczył sobie ten paskudny zwyczaj od dawniejszego sekretarza Deibla. Nauczył się mówić: „To załatwi panu Deibel albo gehen Sie zum Deibel" — do którego zawsze nachodzących go interesentów odsyłał. — Deibla już niema dawno, ale djabeł, w kancelarji pozostał. — Zresztą nasz Forstmeister to stary, jak mówiłem wyga. Traktował i mnie dzisiaj, starego urzędnika, nieprzymierzając jak szczeniaka, który nieporządek zrobił w izbie. Ale to już były specjalne do tego powody — interna domowe, że tak powiem w ministerjum babskiem spraw wewnętrznych. — Ile razy ten Hans przyjedzie, zawsze sekretarz Deibel mocniej pokutuje w kancelarji.

— Czy to nie ten student, którego przed chwilą spotkałem w bramie?

— Ten sam — chargirter Borusse — taśma, pstra czapka i pstro w głowie — to całe jego cnoty — a należałyby mu się jeszcze obroża, korale i dobry otok, to jest psia tresura i bat... Ale cóż, gagatek mamusi — szepnął pod nosem, ruszając ramionami.

Tymczasem zbliżyliśmy się do miasta. Słońce podniosło się rzucając ciepłe, majowe promienie na wdzięczny, roztaczający się przed nami krajobraz, więc zapatrzeni w ten niezwykły widok, milczeliśmy obaj-

Nadleśnictwo kartuskie leży przy samem prawie mieście, przy końcu ulicy Jeziornej. Jeżeli powiat kartuski nazywają Kaszubską Szwajcarją, to stolicę jego nazwaćby trzeba kaszubskim Interlaken. Granice tej osady z dwóch stron otoczone są malowniczemi jeziorami. Duża tafla wody jednego z nich oddzielała nas właśnie od wzgórza, na którem niegdyś Jan z Rasocina ufundował klasztor. Okazały gmach ocieniony staremi lipami, i wzniosłe wieżyce odzwierciadlały się w spokojnej toni. Najbogatszy to był klasztor w całej Polsce, 50 wsi, 74 jezior i stawów rybnych, 9 młynów, 20 karczem i w jedenastu miejscach rozległe lasy, zawdzięczali zakonnicy naszym nabożnym i ofiarnym przodkom.

I stanął wspaniały klasztor „Rajem Marji" nazwany, kościół gotycki, ozdobny w kosztowne ołtarze i stalle, w marmury i misterne rzeźby, budząc i dziś jeszcze podziw w oczach znawców sztuki; wszystkie te bogactwa znikły wraz z świetnością Rzeczypospolitej — znikli i ci z tej ziemi, co ją dzierżyli, którzy wszystkie te dary jej zawdzięczali — a dobroczyńcom swym niewdzięcznością i zdradą odpłacali.

Krzyżactwo, które protegowali i rozszerzali przez wieków tyle, zburzyło ostatecznie cele zakonu, pochłonęło ich i wymiotło nie pozostawiając nawet śladu ich mogił. Tak nemezis dziejowa mściła się za ich własne uczynki. Ostatni dwaj zakonnicy Kartuz z rozpaczy, czy z wyrzutów sumienia, po zniesieniu klasztoru w roku 1804 porwawszy krzyże rzucili się z nimi w nurty jeziora.

Homo proponit, Deus disponit. Ale jako znak zwycięstwa sprawiedliwości pozostał kościół i krzyż na nim...

— No to do widzenia, odezwał się po dłuższem milczeniu Jahnke — mieszkam tu obok w leśniczówce kartuskiej — może mnie kolega przy sposobności odwiedzi. Gospodarstwo u mnie jak u starego kawalera — ale znajdzie się zawsze i szklanka piwa i kęs kiełbasy myśliwskiej na przetrącenie — a z duchową strawą, też nie tak źle u starego borusa, nie samego tylko Kohlmana*) studjuję.

Zamiast odpowiedzi uścisnąłem mu dłoń.

— Jakto pan nieżonaty? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Pan Bóg mnie obronił do tego czasu

A po namyśle, trzymając mnie za rękę dodał:

— I to chciałbym jeszcze powiedzieć — jedną radę z dzisiejszej odprawy Rumbauma należałoby i mnie poprzeć — nie zanadto się pan narażaj — zdaleka od tutejszej polonji, jeżeli chcesz tu miejsce zagrzać... — I tak dziwno, że cię tu przysłali... — A po chwili — gdzie właściwie pan zamieszkałeś, jeżeli wolno zapytać?

— W hotelu „Wittstok".

— W gospodzie zawsze mieszkać nie można, więc poszukaj sobie kwatery w niemieckim domu, nie będzie trudno o to. — Sapienti sat — a co mówiliśmy, zostaje między nami.

---

*) Ówczesna książka do kubikowania drewna.

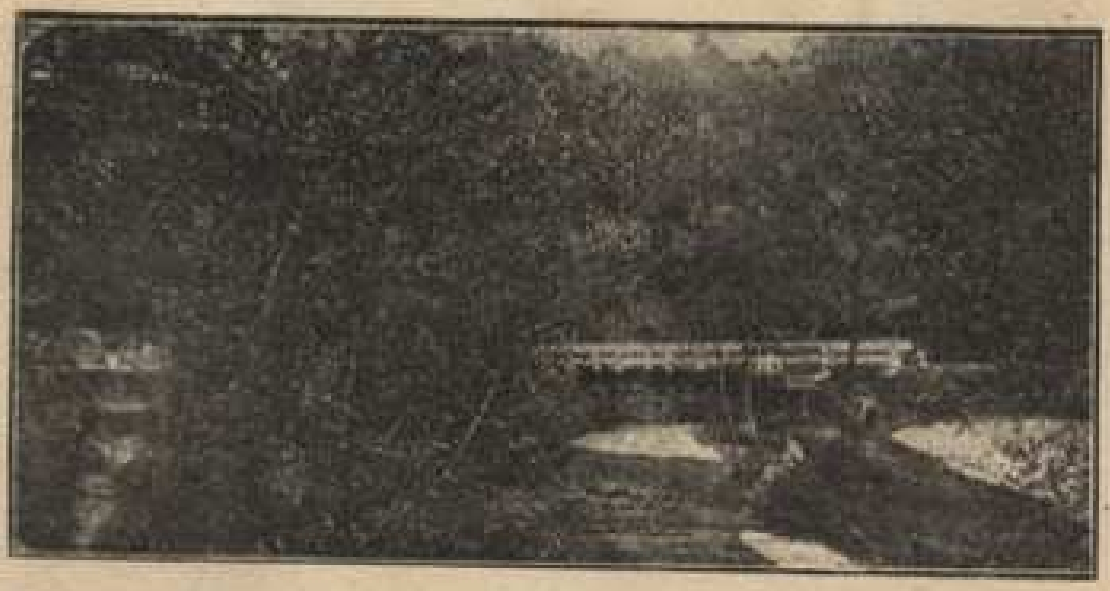

Dolina Raduni

II.

Wieś Kartuzy za czasów pruskich podniesiona do godności powiatowego miasta jest schludną, częściowo znanym niemieckim stylem nacechowaną osadą i liczy 3600 mieszkańców, ma dwie najwyższe powiatowe władze t. j.: urząd ziemski i sąd okręgowy i jako dodatek kulturalny, wyższą szkołę żeńską. Założony tutaj niemiecki Verschönerungsverein skierował w te, dotąd mało znane strony, prąd turystyczny. Wobec takich warunków o pomieszkanie nie było trudno, gorzej było z decyzją wyboru domu.

Nie byłem niestety nazbyt sytuowany, abym mógł rozporządzać swobodnie tak cenną w życiu ludzkiem niezależnością. Ojciec łożył na studja dla mnie, więcej żądać nie mogłem, ale jak on osiągnął stanowisko od wrogich nam wpływów narodowościowych niezależne, tak i ja nie wątpiłem, iż znajdę z czasem odpowiednie wiadomościom zatrudnienie. Posada, zwłaszcza wyższa

urzędowa była dla Polaka nie do uzyskania, pozostało ostatecznie i mnie osiągnąć ją tylko z rąk prywatnych. Ale narazie zależał , i było poniekąd dla przyszłości nieodzowne, posiąść kilkuletnią praktykę w lasach państwowych. Konieczność przykra, spowodowała mnie również zastosować się do tak niedwuznacznie wypowiedzianej woli przełożonego i poszukać sobie kwatery w niemieckim domu.

Wybór mój padł na panią Dewitz, wdowę po tamtejszym bakałarzu. Utrzymywała się ona częściowo z wynajmowania pomieszkania, które odznaczało się nadzwyczajnym porządkiem i czystością. Zalety te zadecydowały mój wybór. — Z czasem wszakżesz przekonałem się, że i przymioty największe mogą się stać jedną z plag egipskich i, gdyby był Mojżesz poradził się p. Dewitz i porządek jej zaprowadził w Tebach, żydzi byliby wolni, a Egipt byłby się od dalszych plag uwolnił.

Przedewszystkiem poddać się musiałem egzaminowi. Na wiadomość, iż jestem leśnikiem, spostrzegłem lekkie skurczenie twarzy, które zrozumieć należało jako wyraz niezupełnego ukontentowania. Więc zaraz i dalsze zapytanie, czy nie posiadam psa lub innego podobnego oswojonego zwierzęcia, któreby porządek domowy zakłócić było zdolne — czy nie smaruję butów dziegciem lub innym podobnie woniejącym tłuszczem. Uspokojona pod tym względem wytoczyła mi wszystkie paragrafy przepisów domowych. Gdzie ubranie na noc wywieszać należy, gdzie powiesić jeden i drugi klucz, gdzie stać powinna spluwaczka, a gdzie miseczka do popiołu, aby broń Boże nie były w prze-

znaczeniu swojem zamienione i t. p. Przepisy porządku tego zrobiłyby bez wątpienia zaszczyt nawet koszarom gwardji pruskiej w Poczdamie.

Gdy raz podczas wakacji byłem w Brześciu Litewskim, spotkałem tam znajomego ojca mego, generała rosyjskiego. Mówiło się o tem i owem wreszcie i o Berlinie, do którego z Eberswaldu jak wiadomo tylko stacji kilka.

— Paskudne miasto — zawołał carskiego porządku dygnitarz

— Dlaczego? spytałem zdziwiony.

— Nie ponimaju, jej Bohu! strach człowiekowi otrząsnąć popiół od papierosa, a jak potrzeba splunąć, szuka się na ulicy spluwaczki. Paskudne miasto!

Otóż w tem znaczeniu pomieszkanie pani Dewitz było paskudne!

Pluszówa staroświecka kanapa i fotele pokryte były szarym, zdobnym w kwiatki kitajem. Ta ochrona wszakżeż nie wystarczała dla porządku miłującej właścicielki; w miejscach, gdzie przypuszczalnie mogłaby się głowa oprzeć, umieszczono ręcznie wykonane białe heklówki.

Takiemi heklowanemi ochronkami okryty był i stolik przy łóżku, komoda, podkładka pod lampę, a nawet cylinder u lampy miał kokieteryjnie heklowaną czapeczkę. Pokój ten codziennie gruntownie zamiatano, szorowano, okurzano wszystkie ściany, we wszystkich kątach, policach, szufladach, wyrzucano pościel z łóżka, przewracano materac, trzepano dywan i dywanik. Z utensyljów tych skutkiem codziennych cielesnych udręczeń pozostały, tylko fragmenta dawnej świetności.

Zajęta ciągle szorowaniem i ścieraniem pani Dewitz prawie wcale nie wychodziła z domu, a gdy o godzinie pół do ósmej udawałem się do biura, już do pokoju wchodziła, zaczynając porządki, a gdy wracałem o pierwszej, była jeszcze przy nich.

Razu pewnego zastałem ją, stojącą na drabince przy szorowaniu szafy: na moje zapytanie, czy ona to codziennie robi, spojrzała tylko na mnie jak na idjotę Gdy podczas dnia upalnego, zdjąłem surdut i położyłem na łóżko, pani Dewitz, przynosząca mi właśnie podwieczorek, o mało z rąk nie upuściła filiżanki. Postawiwszy tackę na stole, pobiegła szybko do łóżka, zdjęła marynarkę i wyrzekłszy płaczliwym głosem: „O moja piękna kołdra!" wybiegła z pokoju. Gdy przez nieuwagę rzuciłem, zapalając lampę, zapałkę na ziemię, leżała ona mimo uprzątania, cały dzień następny, na tem samem miejscu. Pozostawienie tego corpus delicti miało być wskazówką, iż dopuściłem się ciężkiej zbrodni przekroczenia porządku domowego. Była to niezwykła delikatność z jej strony... przecież psu w podobnym wypadku przykłada się nos w miejsce uczynionego nieporządku. Ogólnie mówiąc był to jeden z wyższych typów pedanterji niemieckiej. Mimo to wszystko pogodziłem się z losem, a przyczyniły się do tego inne okoliczności.

Pani Dewitz miała córkę dorosłą Teresę, którą w skróceniu Resi nazywano. Jakiego kraju i rasy był ten produkt, któż to zgadnie; — w każdym razie niezwykły. Średniego wzrostu, twarz Fornarini, temperament i ruchy cygańskiej Azy „Chaty za wsią". Oczy czarne, okrągłe — wielkie jak u puchacza tylko oto-

czone ciemną obwódką, — prawdziwą czy sztuczną — któż tam wypośrodkował. Oczy te dziwne, patrzyły prawie bezmyślnie lub z naiwnością dziecka, to znów przymrużały się znamiennie, zachęcająco. Włosy czarne prawie w stalową barwę kruka wchodzące, nęciły rękę do głaskania i próby, ażali z nich, jak u kota, iskry się nie dobędzie.

Gdy spojrzała temi dziwnemi oczyma, nieznane uczucie przebiegało me wnętrze, jakobym wypił jakiś napój, krążący po żyłach miłe i rozkoszne ciepło owładnęło serce — objął mnie jakiś czar, który nie wiedziałem jak określić. Było tam coś, co mnie pociągało ciekawością, to znów odpychało lękiem od tej istoty.

Mój stosunek do płci pięknej był dotąd, mimo lat dwudziestu kilku, idealny i nacechowany prawie średnowieczną. rycerską czcią dla kobiety. Drobne er tyczne stosuneczki z przejściową miłostką studencką w Eberswaldzie nie uczyniły szczerby w tem poważaniu. Czciłem w każdej przyszłą matronę, stróżkę znicza domowego jak ją widziałem i nauczyłem się cenić we własnej matce.

Miałem niezwykłego rozumu, dobroci i szlachetności rodzicielkę; wpływ takiej wychowawczyni pozostawia niezatarte ślady w duszy i charakterze dziecka i trwa przez całe życie. Ten wzór był i pozostał dla mnie na zawsze miarodajnym w ocenianiu i stosunku do płci żeńskiej. W każdej kobiecie pod tym wpływem widziałem lub pragnąłem widzieć ów przykład tak rzadki, a tak mało dzisiaj doścignły. To też wpływ matki na całe życie ludzkie jest wielki, a tak nieraz niedoceniony.

Kto miał dobrą matkę, ten szanuje i ocenia w kobiecie jej właściwe zadanie, mimo zapominania przez niejedną tych obowiązków, wykolejenia, jakie się w życiu kobiecem wydarzają, mimo zetknięcia się w życiu z takiemi wykolejonemi. Kto miał złą lub lekkomyślną matkę, ten i kobietą posponuje, uważając ją tylko za zabawkę, narzędzie swej chuci i zapotrzebowań zmysłowych. O ile więcej jeszcze wpływ ten dobrej lub złej matki uwydatnia się u córek!.

Wówczas nie myślałem tak poważnie, ale dziś często zastanawiam się nad tem, dlaczego ludzie, którzy dobierają sobie u zwierząt szlachetne matki rodne, aby poprawić i uzyskać jak najlepsze rasy, hodują szlachetne okazy i sprowadzają je z dalekich krajów, żenią się sami bezkrytycznie, nie pytając ani nie troszcząc się jakie może być potomstwo. Czasami bierze ochota zapytać, dlaczego nie założono u ludzi jak u koni, bydła i psów księgi rodowej, nie zaprowadzono lekarskich rewizji. Nie byłoby tylu suchotników, kalek, idjotów i moralnych niedołęgów. Ale człowiek kojarzy się, albo dla interesu osobistego z rafinerją i obliczeniem spekulanta, a więc w celach materjalnych, albo zapominając o wszystkiem, w szale erotycznym, lekceważy interes ludzkości, której jest cząstką, lub szczęście własne całego życia.

Byłem wówczas jeszcze młodym, więc powyższe rozumowanie nie miało do mnie dostępu. Trzeba wieku i smutnych doświadczeń, aby to zrozumieć.

Gdym prowadził układy z panią Dewitz i podlegał jej egzaminowi słuchając regulaminu domowego, Resi stała za matką i po przez ramię patrzyła na mnie. Pod wpływem tego wzroku byłem jak głuszec na toko-

wisku, — wprawdzie nie ślepy ani głuchy, bom widział i słyszał mówiącą matkę, ale malinowemi ustami Tereni- Więc wszystko co słyszałem, wydawało mi się tak słodkie, jak malina i jak szwajcarska czekolada, która patrzyła z tych brunatnych, ślicznemi powiekami przykrytych źrenic. Patrzyła wzrokiem, którego urok odczułem bezzwłocznie po raz pierwszy, a który wkrótce poznać miałem i częściej i dokładniej.

Na drugi dzień rano o ósmej rozpoczęła się moja służba w nadleśnictwie.

Leśnik dzisiejszy jest pod pewnym względem podobny do wojaka. Z dawniejszego rycerza z pełnym średniowiecznym romantyzmem przeobraził się na dzisiejszego żołnierza z pospolitym drylem, świecącemi guzikami i koszarowem życiem. Leśnik dzisiejszy to również wydrylowany żołnierz, ale czasami bez broni nawet, to już tylko maszyna do pisania, rejestrowania, raportowania, kontrolowania i kubikowania. O ileż więcej sekretarz król. pruskiego nadleśnictwa. — Marzenia o swobodnem bytowaniu wśród lasów i przyrody, która tak odpowiadała naturze mojej, o owem mohikańskiem życiu, jak o niem nieraz słyszałem z ust mego dziadka, wszystko to były iluzje, zamki, które rozsypywały się przy pierwszem ruszeniu się lodów rzeczywistości.

Wspomnienia moje dziecięce, przez barwne opowiadanie dziadka, sięgały tych czasów puszczy tucholskiej, gdy jeszcze zasługiwała na tę nazwę, gdy kopano w niej bursztyn, gdy na wypalankach, wśród wrzosu, setki cietrzewi tok odprawiało, gdy grała tam trąbka myśliwego, nawołująca ogary, gdy tam polowali

i rządzili inspektor lasów Kreuzhar i nadleśniczy Kabot w Woziwodzie; starzy to przyjaciele i towarzysze łowów dziadka.

Nie znano wówczas jeszcze prawidłowego łowiectwa w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu, ale już wtedy — bez praw i kodeksów pisanych — dziad mój prawił i wpajał w syna, iż rycerskość i łowiectwo, to dwa identyczne pojęcia, tradycyjnie od przodków nam przekazane. On go uczył, jak strzec, cenić i jak pielęgnować je winniśmy. Bóg stworzył zwierzę i w niem czcimy Jego dzieło.

Wszystko to przeobraziło się dziś w odmienną formę — myśliwstwo pokrył sztuczny lakier, może piękny, lśniący, może prawidłowy, ale to już nie rycerskość, to kulturalna zabawa, to sport, a do leśnictwa modnego przedostał się dryl i schemat.

Proza tego kancelaryjnego biurokratycznego życia, które mnie tu czekało, miała jeszcze inne, jak się wkrótce przekonałem, charakterystyczne odcienie.

W kancelarji czekał na mnie pan Forstmeister z fajką w zębach, z którą jak się zdaje spał nawet. I rozpoczęła się praca jednostajna, bezmyślna, która z człowieka robi kółko w mechanice administracyjnej. Interesenci wchodzili i wychodzili. Pisałem protokóły, raporty, odpisywałem władzom i prywatnym stronom, dodawałem, odejmowałem i mnożyłem. W czasie wolnym należało do mnie przepisywać, wszywać i wklejać rejestry i formularze, zapoznawać się też z narzędziami: dekstryną, sznurkiem, klejem, nićmi i igłą.

Mój stosunek z Rumbaumem był służbowo poprawny, o zajściu wczorajszem nie było żadnej wzmianki;

rozmawialiśmy o rzeczach tyczących się służby i na tem kończyła się nasza konwersacja.

Dnia tego byłem mimowolnym świadkiem rozprawy, tyczącej się spraw wewnętrznych państwa Rumbaumów. Przekonałem się zarazem, iż nie potrzeba koniecznie stać pod słupem telegraficznym, aby słyszeć co się dzieje w nadleśnictwie.

Było to około południa, wychodziłem właśnie na obiadową przerwę, drzwi wchodowe dla interesentów na ten czas zamykano. Należało więc przejść długim korytarzem, w którym zwykle wieszałem swój płaszcz i kapelusz, aby drugiem wyjściem dostać się na dziedziniec. Właśnie chwytałem za palto, gdy tuż za drzwiami odezwał się głos donośny:

— Herr Deibel hole das!

— Nie krzycz — nie masz powodu, odezwał się głos kobiecy

— Nie mam powodu? — to wszystko się skończy!

— Nie masz wyrozumienia dla młodości.

— Wyrozumienie to u ciebie słabość — małpia miłość matki, replikował głos basowy.

— Co się stało? — O co ci chodzi? — Chłopak używa wolności. Starzy nie pamiętają, że kiedyś byli młodymi.

— Es ist ein Skandal! To wałęsanie się po nocach uważasz za swobodę? Jego korps — w Berlinie dosyć worek mój wypróżnia. — Niechbym miał przynajmniej spokój w Kartuzach. I jakiż będzie skutek?... To źle się skończy!

— Co się ma źle skończyć?

Udajesz — czy nie rozumiesz, iż ten stosunek awanturą pachnie. Czy zapomniałeś, co w roku zeszłym zrobił w Berlinie? Tam skończyło się alimentami, ale tutaj nie Berlin, tu w tej kaszubskiej dziurze my reputacją i dalszemi konsekwencjami zapłacimy, tu pieniędzmi sprawy się nie załata, tu nas palcami wytykać będą... A może pragnęłabyś kaszubskiej synowej?.... No — winszuję!

— Ależ przesada, — to zwyczajna miłostka, — taka studencka sobie...

— Proteguj, broń lub zasłaniaj, gdy ci się tak podoba — ale wiedz, że chłopaka zatracisz, zrobisz go nieszczęśliwym na całe życie. Pieściłaś go od dziecka, jako jedynak był on zawsze gagacikiem, co zrobił, było rozkoszne, było dobre. Małpia miłość matki równała mu drogę, słała mu wszędzie kwiaty pod nogi, dogadzała mu w zachciankach. Dzisiaj dorósł i ma wyjść na człowieka, a jemu się wciąż zdaje, że życie to zabawka, to przyjemność, to użycie. Zajęty moim zawodem, nie wglądałem dostatecznie w wychowanie Hansa. Ty je wzięłaś na siebie, teraz się to mści i ja pokutuję.. Ale koniec cierpliwości... słuchaj co powiem... co postanowiłem... Jeżeli się dowiem, iż stosunek nadal utrzymuje z tą... tą... latawicą... — niechcę go znać — rozumiesz, cofam miesięczny weksel, niech sam sobie radzi — to mu powiedziałem, to i tobie powtarzam. Niech mnie djabli wezmą, jeżeli nie dotrzymam — A teraz wiesz, co go czeka!

Silny trzask drzwiami, jako finał grzmotowy, zakończył z efektem scenę burzy domowej.

Co się działo w rodzinie Rumbaumów, nie rozumiałem dobrze — odczuć tego nie mogłem. Wzrosły

wraz z sześciorga rodzeństwem w trudnych warunkach, nie wiedziałem co to żywot jedynaka. Życie w domu naszym było skromne, prawie purytańskie, urządzone jakby szkoła w walce o byt. Przełamanie nagromadzonych trudności, to jego cel, młodość, to czas przygotowania do niej. Kto się w tym czasie nie przyspasabia, mówił nam ojciec wielokrotnie, nie zahartuje, ten ulegnie lub zginie przy pierwszem spotkaniu z przeciwnikiem nieustępliwym, nieprzebłaganym i bezwzględnym, jakim jest rzeczywistość życia. Tak nas rodzice uczyli, tak nas wychowali i do życia przygotowali. Każdy z nas według sił, zdolności fizycznych i umysłowych musiał pracować od najwcześniejszej młodości, brać udział w domowych i gospodarczych zajęciach, utrzymywać swoje utensylja i garderobę w koszarowym porządku, notować wydatki skromnego kieszonkowego, co miesiąc wyznaczonego nam przez rodziców. Cenzury szkolne rodzice przeglądali regularnie i sumiennie i według ich brzmienia karcili lub nagradzali. Przejść taką szkołę wychowania nie było mi nawet ciężko, gdyż innej nie znałem, przeświadczony, że tak trzeba, tak się należy i tak być powinno, aby osięgniąć ludzkie wyżyny.

Po takiem wyszkoleniu życie nie sprawia mi zawodu, przeciwnie, robi mi zawsze uciechę, trudności pokonywam łatwo, nie dam się ugiąć przeciwnościami. Zadowalam się małem, każda, choćby najskromniejsza rozrywka mnie bawi, w każdem położeniu, nie oglądając się na pomoc obcą, umiem sobie poradzić, jestem niezależny od wszelkich nawyknień, nałogów, przywar, zamieniających człowieka w niewolnika własnych nałogów.

To, co powiedziałem, nie jest samochwalba, bo to nie moja zdobycz, to zasługa moich kochanych rodziców. — O jakżem szczęśliwy, iż nie jestem Hansem Rumbaumem...

Pani Dewitz zajmowała pomieszkanie w niewielkim domku, do którego przylegał również nieobszerny, ale starannie utrzymany ogród. Jak to w małomiasteczkowych sadach bywa, znajdowało się tam wszystkiego potrosze, i kilka zagonów na warzywa, i kilkanaście drzew owocowych, przeplatanych bzami i ukrytą w nich altanką. Były i przed domem klomby na ziele i kwiaty, rabatami bukszpanu otoczone. Po ścianach domu pięły się róże i winogrady.

Okna pokoju mego wychodziły na ten ogród, którego otaczały częściowo ściana budynku, częściowo ogrodzenia sąsiednich posiadłości. Za bok czwarty, a zarazem za tło i widok zamykający obraz, służyło jezioro klasztorne, wielkie i czyste. Lazur nieba odbijające zwierciadło wód, otaczała gdzieś w dali rama ciemnych, jodłowych lasów kartuskich. Wolny od drzew, trawnikiem i ścieżką tylko ku jezioru idącą, urozmaicony widok, pozwalał rozkoszować się tym miłym krajobrazem.

Wróciwszy z biura, otworzyłem okno. Majowy wieczór zapadał, słońce gorzało jeszcze krwawą łuną nad lasem, rzucając długie refleksy świetlane na toń, o barwie nieba. Jaskółki, goniąc za muszkami muskały wodę, gdzieś w dali, znacząc srebrną, świetlaną smugą swój bieg, przemknęła łódź rybaka. Panowała cisza i spokój. Powietrze było przesycone owem ciepłem, odradzającem się tchnieniem wiosny, które pobudza do

szybszego obiegu krwi w żyłach, wznieca radość życia, a nieodgadnioną żądzą pociąga za czemś nieznanem i upragnionem...

Drzwi wychodzące na ogród otworzyły się cicho; lekko, jak motyl, wsunęła się schodkami, z konwią w ręku, postać niewieścia; przebiegła ścieżką i stanęła nad wodą. Była to Resi.

Teraz, gdy objąłem jej całą postać zrozumiałem dopiero, dla ucha niepochwytną, lekkość kroków. Nóżka mała, zgrabna, w kosteczce wąska, była bosa, nawet pończoszką nie nakryta Ale i reszta, skąpego w materjał ubioru, dawała sposobność do podziwu kształtów. Wycięty stanik i krótkie rękawki odsłaniały biust i kształtne ramiona, a krótką podkasaną spódniczkę, jak to czynią dziewczęta żniwujące, stojąc nad wodą, ściągała właśnie sznurem w pasie. W ten sposób nagie nóżki odkryły się jeszcze na kilkanaście centymetrów wyżej. Był to na owe czasy niezwykły obraz pasterski à la Watteau — przykuwał on oko i podniecał zmysły.

Na onczas panowała inna moda, spódniczki sięgały aż do kostek prawie, nie byliśmy jeszcze przyzwyczajeni jak dziś, widzieć i krytykować na ulicy formy nóg kobiecych, wystawiających się publicznie, jakby na konkursie lub na balecie.

— Kolego — mówił mi stary przyjaciel na ostatnim zjeździe leśników, gdyśmy wychodząc z akademji szli plantami przed zamkiem w Poznaniu, — patrząc na spacerujące tu niewiasty, przychodzą mi po tych mądrych obradach o ratowaniu lasów, bardzo niemądre myśli do głowy: nasze lasy w sam raz posiadają wszelkie cechy nowoczesnej panny z wdziękami; brak im więc dzie-

wiczości, są podkasane i do tego stopnia przejrzyste, że nawet człowiek stary rumienić się musi.

Ale wówczas nie byłem jeszcze starym, ani tak ostrym krytykiem, jak teraz mój przyjaciel nadleśniczy

Na widok tych wdzięków, nie tak pospolitych jak obecnie, krew, działając mniej z młodzieńczej skromności, jak z innych względów, krążąc w żyłach żywiej poczęła napływać z serca do twarzy.

Panna Dewitz, z konwią pełną wody, powróciła i tuż pod oknem rozpoczęła podlewać ogródek, zajęta swoją robotą, jak się zdaje, nie zwracała na mnie uwagi.

— Czy wolno pomóc? zawołałem.

— Ach, to pan! i postać jej drgnęła, oczy rozwarły się szeroko — jak można tak straszyć.

— Przepraszam — wyjąkałem.

— Nie wiedziałam, że pan już powrócił — i postawiwszy konew na ziemi, szybkim ruchem zluzowała węzeł, wstrzymujący suknię i spódnica jak kurtyna zapadła znów nad tym żywym obrazem plastycznego wdzięku.

— Ja za karę będę wodę nosił do całego ogrodu — czy wolno?

— Królewski sekretarz nie może nosić wody — odparła z przekąsem — ale na karę już pan zasłużył, to pewno.

— Zgadzam się na każdą — rzekłem pokornie.

— Zobaczymy — a więc zamknij pan okno i tak długo jak jestem w ogrodzie i będę podlewała, patrz sobie na ścianę, na tapety, na piękne obrazy, co tam wiszą, kobiet podlewających tam niema, ale wisi Moltke — Roon i tyle innych pięknych chłopców . . . ha . .

ha! . . . — i zaśmiała się, pokazując szereg białych ząbków, jakby na okaz.

Zamknąłem okno zbyt ostro, bo szyby zabrzęczały w ramach, i krew trysnęła mi znów do twarzy, ale już z gniewu i oburzenia, a z ogrodu jeszcze brzmiało ciągle wesołe: ha! ha!

Dzisiaj śmieję się z mego niemądrego zachowania i oburzenia, ale wówczas, nie znając kobiet, niedoświadczony, dąsałem się jak dzieciak, któremu odebrano ładną zabawkę. Byłem jeszcze zbyt młodym, aby zrozumieć taktykę zalotności i środki, jakiemi posługuje się kokieterja kobieca.

Jezioro Klasztorne z kościołem „Rajem Marji".

III.

Na drugi dzień była niedziela, uroczystość, którą w małem miasteczku i po wsiach odczuwa się silniej niż gdzie indziej.

W wielu katolickich krajach jak we Włoszech, we Francji lub Hiszpanji, a nawet i w niejednej naszej mieścinie, kościół zastępuje wiele rozrywek i podnietę ducha, niewiele lub wcale nie mającej wspólnego z nabożeństwem. Tam się idzie, aby pokazać suknię, płaszcz lub nowy kapelusz, tam się dąży, by widzieć drugich i być widzianym, jest to zabawa jak każda inna, teatr, kino i wogóle przedstawienie, temat do rozmowy na cały następny tydzień. Samo nabożeństwo kościelne, to ceremonjał w obrębie ludzkich słabostek.

Na Kaszubach niedziela, to rzeczywista uroczystość, a nabożeństwo, to prawdziwe skupienie ducha i żarliwej modlitwy.

I wtenczas wszystko spieszyło do kościoła, do starej kolegjaty klasztornej i ja tam poszedłem za dru-

gimi. Kościół ów, w gotyckim stylu zbudowany, stoi na wzgórzu nad samem jeziorem; ołtarz marmurowy w stare bardzo rzeźby ozdobny i piękne stalle są robotą zakonników, których cele zniesiono, a prochy się rozsypały po ziemi kaszubskiej, nie pozostawiając śladu grobowca.

Przy przepełnionej świątyni rozpoczęło się nabożeństwo i zwykła niedzielna ceremonja kościelna, a więc kolejno, kropienie wiernych wodą święconą, msza św., poważnym tonem organów i śpiewem chóralnym urozmaicona, kazanie proste, jak dusza, do której było skierowane, ale podniosłe i budujące, a wkońcu wystawienie Sanctissimum, którego otoczył zapach bursztynowego kadzidła i napełnił nim całą świątynię.

Zająłem wolne jeszcze miejsce w jednej z tylnych ławek. Obok mnie siedziało dziewczę, skromnie w głębokiej modlitwie zatopione — zajęty więcej obserwacją nieznanej mi jeszcze świątyni, nie zwracałem początkowo uwagi na otoczenie — widziałem tylko, że była choć gustownie, lecz skromnie i bez pretensji ubraną i miała twarzyczkę ujmującą. Szczeremu nabożeństwu oddana, zapatrzona to w książkę to w ołtarz, mimo bezpośredniego sąsiedztwa w ławce, nie zwracała uwagi na mnie, jak wogóle na nikogo z obecnych. Obrażało to ambicję i próżność młodzieńczą, ale jak to leży w ludzkiem usposobieniu, podniecało jednak ciekawość. Spojrzałem raz po raz na modlącą się, a nie spostrzegłszy zainteresowania, wyjąłem i ja, za tym dobrym przykładem książkę, mój stary — przez matkę mi jeszcze przy pierwszej komunji darowany modlitewnik i przeżegnawszy się rozpocząłem czytanie.

Wreszcie skończyło się nabożeństwo i rzesza nabożnych zaczęła opuszczać świątynię. Powstałem z ławki

pierwszy i porwany prądem wychodzących, wkrótce zanurzyłem się w tłumie.

Przeciskając się przez świątecznie przybranych, na placu stojących z bliższej i dalszej okolicy przybyłych kaszubskich braci, dostałem się wreszcie na wolniejszą ulicę, gdy głos śpiewny: „panie chwileczkę"! zatrzymał mnie na miejscu.

Ze zdziwieniem zobaczyłem moją sąsiadkę z ławki kościelnej. Stała przedemną nieśmiało, z pół okrytemi źrenicami; udało mi się jednak zauważyć, że były modre, wyrazu słodkiego, jakoby patrzyły z ołtarza, ze świętego obrazu.

— Zostawił pan to w ławce — i podała mi mały, pożółkły obrazek.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — zawołałem żywo — pani nie wie nawet, jak wielką zrobiła mi przysługę — ten skromny obrazek to pamiątka, droga pamiątka rodzinna, bardzobym ubolewał nad jej stratą. Jeszcze raz dziękuję! I odbierając zgubę, ścisnąłem małą rączkę.

— A więc dobrze zrobiłam — przepraszam — dodała po chwili, chcąc widocznie przerwać ambarasującą ją rozmowę — mama na mnie czeka... i skłoniwszy głową, lekkim krokiem zwróciła się w drugą stronę ulicy.

Spojrzałem za uchodzącą, na jasny splot włosów, który wysuwał się z pod kapelusza i mimowoli zrobiłem porównanie z tamtą, dziką, polną różą, obcą mi i kolącą.

Zapatrzony za uchodzącą, trzymałem ciągle jeszcze w ręku oddany mi obrazek. Przedstawiał on św. Eustachego, w znanej legendzie poprzednika św. Huberta,

z jeleniem i krzyżem w wieńcu pomiędzy odnogami, patrona myśliwstwa, a zarazem i mojego. Stary to był sztych, świadczący o prymitywnem pojęciu sztuki u artysty.

Ale to nie było jego jedyną osobliwością. Ze skromnym tym obrazkiem łączyły mnie i rodzinę moją dawne i dziwne, a nawet powiedzieć można, niezwykłe wspomnienia, które sięgały czasów naszych wysiłków bohaterskich, naszych walk o niepodległość. Dziadek mój zamieszkiwał wówczas w miejscowości K. w puszczy Tucholskiej. Już kilka miesięcy toczyła się zacięta, krwawa a beznadziejna walka z rosyjskim kolosem. Od granicy Kongresówki aż do Pomorza zorganizowana tajna poczta powstańcza przewoziła od etapu do etapu amunicję, broń, ochotników, a z powrotem chorych i rannych.

Jedna z tych tajnych poczt przywiozła nocą, z pola walk powracającego, powstańca. Był on kilkakrotnie kozackiemi spisami pokłóty, nadto zbiedzony i długimi pochodami wyczerpany. Nazywał się Eustachy Balsac, francuz, rodem z Ardenów z północnej Francji, któremu matka Polka przypomniała pochodzenie i obowiązek złożenia w ofierze podatku krwi, drugiej, a nieznanej mu dotąd, ojczyźnie.

Zajęto się nim, jak poprzednio tylu innymi, z całą ofiarnością i gościnnością polskiego domu. Był to zacny, i mimo ran i cierpień przebytych, wesoły i pełen fantazji kawaler, a opowieści myśliwskie z dębowych gąszczy ardeńskich i przygody ze świeżo przebytych pól bitew, niejeden urozmaiciły dziadkowi wieczór.

Szczególne wrażenie sprawiło na słuchających dziwne jego ocalenie w bitwie pod Brdowem. Oto-

Z skromnym tym obrazkiem łączyły mnie
i rodzinę moją dawne a dziwne wspomnienia.

czony przez kozactwo, kłóty ich pikami, w tej strasznej opresji: „Messieurs, messieurs! la légitimation!" zawołał i gdy ci dźwiękiem nieznanego im języka zdziwieni, wstrzymali zabójcze groty, wyjął z kieszeni, obrazek św. Eustachego, który właśnie miał pod ręką — z pietyzmem chowaną pamiątkę pierwszej komunji i podał ją dowodzącemu oficerowi.

Z poważną miną, jakby chodziło o autentyczny dokument z podpisem cara batiuszki, obejrzał tenże podaną ćwiartkę papieru z jednej i drugiej strony, z wielką uwagą przypatrzył się napisowi: „Souvenir de la première Comunion", podpisowi „Curé Blanc", a przedewszystkiem pięknej pieczęci kościelnej i nie wątpiąc już, jak się zdaje w autentyczność dokumentu: „Bieri i paszoł won" — zakomenderował.

Później już transportowanemu powiodło się, przez dalszą zręczność i przebiegłość, ujść niewoli i katorgi. Gdy po tygodniach wyleczony zupełnie wracał do swojej ojczyzny, przy pożegnaniu wręczył dziadkowi cenne swe souvenir.

— „Moskale wszystko mi zabrali", mówił, „oto jedyna rzecz wartościowa, jaką posiadam, zachowajcie ją na pamiątkę".

Odtąd św. Eustachy znalazł się w naszej rodzinie. Dziadek umieścił go, jako miły po gościu francuskim upominek w książce do nabożeństwa, a dalsze niezwykłe wypadki podniosły jeszcze bardziej jego znaczenie.

W kilka lat po opisanych zdarzeniach wybuchł pożar w naszym domu, który się spalił doszczętnie. Gdy następnie w zgliszczach szukano za pozostałościami,

znaleziono w kupie popiołów zwęgloną książeczkę do nabożeństwa. Dziwnym jednak wypadkiem ogień do środka książki nie dotarł, spalił okładkę, zwęglił karty a obrazek ze św. Eustachym był nienaruszony.

Minęło znów kilkanaście lat, dziadek już nie żył — zbiegiem fortuny mieszkaliśmy wówczas na Litwie, ale ojciec mój i tam przechowywał stale odziedziczoną pamiątkę w książeczce do nabożeństwa.

W pierwszych latach pełnionych tam obowiązków nadleśniczego, ciężkie przejścia czekały mego rodzica; złodziejstwo, rabunek drzew wraz z kłusownictwem grasowały tam zarówno z wilkami w lasach książęcych. Zaprowadzenie porządku kosztowało wiele zabiegów, żelaznej energji, a nieomal i krwi. Nienawiść malwersantów i kłusowników do ojca mego rosła z każdym dniem, listy anonimowe z pogróżkami odbierał on coraz to częściej i czego można się było spodziewać, to nastąpiło.

Pewnej niedzieli ojciec mój, wracając już o zmroku po nabożeństwie majowem z kościoła dróżką leśną, ugodzony został z ukrycia strzałem wymierzonym w piersi, co spowodowało tak silne uderzenie, iż zatoczył się na siedzeniu. Z niemałem zdziwieniem przekonał się następnie, iż kula uderzając, natrafiła na książeczkę do nabożeństwa, przebiła okładkę i wszystkie strony i zatrzymała się dopiero na obrazku ze św. Eustachym, który i w tym wypadku nie doznał żadnego uszkodzenia.

Odtąd znowu pamiątka francuzkiego powstańca urosła do niezwykłego znaczenia i gdy w kilka lat później przyszedłem na świat, dano mi na chrzcie św.

imię Eustachy. Ojciec mój nie rozłączał się też z tym obrazkiem prawie nigdy, a gdy skończywszy szkoły, udałem się na uniwersytet, dostałem wraz z modlitewnikiem mego patrona, jako cenną, rodzinną pamiątkę.

— Znasz historję obrazka — mówił do mnie rodzic na pożegnaniu — wiesz jakie wspomnienia i rodzinne zdarzenia z nim nas łączą. Jest on jednocześnie Twoim patronem — zachowaj dobrze, niechaj Cię nie opuszcza, tak jak i nas nigdy nie opuszczał. Takie zdarzenia łączyły mnie ze skromnym obrazkiem, który mi nieznana piękność kaszubska wręczyła na ulicy. Wstyd mnie było, iż to co odebrałem od rodziców w spuściźnie, co w tak cennem było u nas poważaniu, z tak uroczystem napomnieniem mi oddane, w tak lekkomyślny sposób mogłem zagubić i mógłbym stracić bezpowrotnie. Dziwnie mnie wszakżesz z drugiej strony pocieszało, iż właśnie ta, a nie inna osoba, była jego znalazcą. Czyżby i w tym małym epizodzie z mego życia jakaś nieznana moc planowo kierowała, tak drobnym na pozór wypadkiem, jak kierowała losami poprzednich właścicieli mistycznego obrazka?

Ale niezwykłe zdarzenie i z niem złączone miłe wspomnienia wnet zostały zatarte nowemi wpływami, jakim podlegają młode, wrażliwe młodzieńcze uczucia.

Szczęśliwa młodość! Pod srogością burzy gnie się jak trzcina, a nie łamie. Najmniejszy zefirek gra na jej strunach, jak na harfie eolskiej i czy wieje od zimnej północy, czy od ciepłego południa, zawsze wydaje ton żywy, gorący — zespala się harmonją w nowym akordzie życia. Niestety gra na tej harfie zawsze tylko przypadkowy podmuch wiatru, a nie ręka doświadczonego mistrza.

Pannę Teresę widziałem codziennie i to zawsze z mego pokoju przez otwarte okno, raz w altance z robótką w ręku, to znów w ogródku, jak wówczas, podlewającą warzywo i ziele, ale podkasania spódniczki nie było już więcej. Na mnie jak zawsze nie zwracała uwagi. Gniewało to i drażniło coraz więcej moją miłość własną; zamykałem wówczas natychmiast okno i to stale z akompanjamentem dzwoniących szyb. Czasem też spotkaliśmy się niespodzianie w korytarzu, wówczas twarz zachmurzona, lub lodowato zimna i lekki ukłon był jedyną oznaką uprzejmości.

Jak przekonać się mogłem, Resi nie brała tych bardzo jeszcze studenckich przekomarzań do serca, nie śmiała mi się już wprawdzie prosto w oczy, jak to było za pierwszym razem, ale wesoło nucąc, okazywała na wszelkie dąsania zupełną obojętność a czasem nawet wesołym trylerem — lekceważenie. Do ogrodu nie wchodziłem wcale, a spotkać się z nią w domu czy w gospodarstwie kobiecem nie było sposobności. Do posług miała pani Dewitz jakąś starą Kaszubkę, przychodzącą codziennie na kilka godzin wypełnić najgrubsze zajęcia; kawę z rana przynosiła zwykle pani Dewitz sama, jakiebądź żądania załatwiła służąca, nie miałem więc powodu szukania towarzystwa Resi, ani ona mojego. I zdawało się, iż obie strony są z tego zadowolone.

Pewnego dnia, po owej pamiętnej niedzieli, o wczesnym poranku, przed udaniem się do biura, gdy już kompletnie ubrany, wyczekiwałem tylko na śniadanie, ku niemałemu memu zdziwieniu, weszła do pokoju Resi. Niosła śniadanie, dzbanek z napojem, zwącym się

w Kartuzach kawą, śmietannik, wbrew swej nazwie zawierający odtłuszczone mleko, przytem bułeczki i na talerzyku krążek masła z misterną płaskorzeźbą przedstawiającą róże, ale za to wszystko spoczywało na tacy, pokrytej kolorowo haftowaną serwetką.

Czułem, iż znajduję się w nieprzytomnem położeniu, zrobiło mi się jakoś nieswojo i nie wiedziałem co z sobą począć, jak się znaleść, wszakże była w moim pokoju i moim gościem, więc w pierwszej chwili z kawalerską uprzejmością zacząłem gorączkowo usuwać rozmaite przedmioty, przeszkadzające nakryciu stołu i zastawieniu na nim śniadania, potem wszakżeż działanie obrażonej ambicji, zaczęło brać przewagę, więc usiadłszy przy stole i zabrawszy się z gorliwością człowieka głodnego do śniadania, przybrałem jak mi się zdawało, minę tak obojętną, rysy twarzy tak zimne, iż w nich zamarznąć byłaby powinna woda stojącej na stole karafki.

— Czy pan sekretarz ma jakie życzenie? — odezwał się wreszcie głosik tak śpiewny i miękki, jakiego u tej dziewczyny jeszcze nie słyszałem.

— O ile widzę, mam wszystko co należy — odrzekłem dość szorstko, obojętnie rozglądając się po pokuju.

— Mama wyszła na targ, więc poleciła mi troskę o pana. — Kawa nie za mocna?

Nalałem właśnie filiżankę i doprawiwszy cukrem i mlekiem płyn z trzech ziarnek sporządzony, odrzekłem z ironją:

— Nie, z pewnością nie za mocna.

— A to może za słaba?

— I nie za słaba, dziękuję.

— A łóżko czy wygodne?

— Łóżko?

— Przepraszam, może to nie potrzebne, ale mama mówiła, że mam pytać o wszystko.

Przez cały czas tej rozmowy nie patrzyłem na Resi, chociaż stała naprzeciwko mnie, czułem tylko jej świdrujące oczy na sobie. Spojrzałem więc mimowoli i wówczas spostrzegłem na obojętnej, urzędowej prawie twarzy lekki figlarny uśmiech, jak obłoczek na słonecznem niebie.

Może ten uśmiech, może ten wzrok — czy ja wiem co się wówczas stało?, ale chwyciwszy bułeczkę z talerzyka, począłem kroić ją gorączkowo, przyczem nóż ostry, przebijając skórkę pieczywa, zarznął mi palec. Krew trysnęła.

— Co pan zrobił!.... taka nieostrożność! ... można dostać zakażenia krwi — to mówiąc, chwyciła mnie za rękę, a gdy chciałem ją usunąć, uczepiła się pazurkami, jak jastrząb do zdobytej ofiary, i zawołała gwałtownie: siedzieć cicho! — Zanim mogłem temu zapobiec, przyłożyła usta do rany i ssała z niej krew.

Było to tak niespodziewane, tak niezwykłe, iż oniemiałem z podziwu i patrzałem bezsilny, jak we śnie, na bajecznego wampira, co wytacza krew ludzką. Tak wyobrażałem sobie jego działanie. Jakieś błogie uczucie owładnęło mną, rany nie czułem, tylko paliło miejsce w dotknięciu tych gorących ust. I ssała długo i krew już biec przestała, a ona wciąż trzymała usta na ranie, jakby nasycić się nie mogła krwawem pragnieniem.

Wreszcie puściła rękę i patrząc z pod przymkniętych powiek okiem niesamowitem, szepnęła:

— Pan mnie nienawidzi, prawda? I ja także — mogłabym w tej chwili wytoczyć wszystką krew z człowieka. Napiłabym się jak pijawka...

To mówiąc, zerwała się i znikła za drzwiami, jak niepojęte zjawisko. Wydało mi się to snem podobnym do objawienia choremu w malignie i długo byłem pod wrażeniem tego zdarzenia, nie wiedząc, co sądzić i jak je tłumaczyć

I tak minęło dni kilka, ale scena ta nie zbladła w tym czasie, nie wyszła z pamięci, myślałem o niej ciągle, czy rano wstając, czy w drodze do biura, czy przy pracy kancelaryjnej, czy usypiając w łóżku, o każdej porze dnia, zawsze stała mi Resi przed oczyma, jej niepojęty czyn i słowa zagadkowe: „Pan mnie nienawidzi — i ja także..." Dlaczego mnie nienawidziła? — czemu więc ssała krew, ażeby usunąć możliwe zakażenie... To były zagadkowe niewyjaśnione sprzeczności.

Z nabitą myślami takiemi głową, wieczorem jednego z ciepłych dni majowych wracałem rychlej niż zwykle z biura do miasta. W tym czasie w nadleśnictwie było mniej pracy, zamknąłem więc nieco wcześniej rejestra.

Dzień nie miał się jeszcze ku schyłkowi, słońce stało cały kawał nad lasem. Aby przerwać męczącą mnie zmorę i odwrócić myśli na inny przedmiot, postanowiłem nasycić się wiosennym wieczorem, udając się na położone w środku miasta, w epoce lodowej powstałe wzgórze, dziś „Górą Wolności" zwane, skąd rozstaczał się piękny widok. Przy wieczornem oświetleniu rozpościera się stamtąd ładna panorama na

Kartuzy, oba jeziora i wieniec ciemnych, okrążających je lasów. Wzgórze to wieńczy ruina starej kaplicy, a zakłady ogrodnicze, składające się z starych drzew, wreszcie ławki do spoczynku wraz z powyżej wzmiankowanym widokiem, uczyniły miejsce to ulubionym i często powtarzanym pobytem, tak dla obcych jak i dla tutejszych mieszkańców.

Czekała mnie miła niespodzianka; na jednej z ławek siedziała tam z towarzyszką, jak się zdaje matką, ubraną w czarną skromną suknię — znajoma, a raczej nieznajoma moja z parafjalnego kościoła.

Po chwili wahania przystąpiłem i przedstawiłem się tym paniom. Starsza z nich wymieniła mi także swoje nazwisko.

Była to pani Derdowska, jak się później dowiedziałem, wdowa po właścicielu niewielkiej posiadłości na Kaszubach, składającej się więcej z jezior i wrzosowisk, niż z urodzajnej ziemi. Po śmierci męża sprzedała niewiele przynoszące dziedzictwo i zamieszkała wraz z córką, niezawodnie ze względów oszczędnościowych, w tańszej od innych miast stolicy kaszubskiej.

Nawiązując rozmowę od tak szczęśliwie, dzięki córce odzyskanej, cennej dla mnie pamiątki, opowiedziałem im dziwne tego obrazka przygody. Słuchając z zajęciem i zrozumiałem zainteresowaniem, matka z koleji wypytywała mnie o moje tutejsze wrażenia, o prace w urzędzie, o odbyte studja oraz o stosunkach w obecnym miejscu pobytu moich rodziców. Była to typowa postać matrony polskiej; powaga i dobroć malowały się na jej obliczu.

Panna Marja — bo tak było jej córce na imię, nie mieszała się przez cały czas do rozmowy, oczy spuszczone patrzyły przeważnie na ziemię.

Jakież to odmienne typy pomyślałem sobie, robiąc porównawcze studja nad temi dwiema kobietami. Resia i Marysia! U tamtej kipiące życie, każdy ruch, każde słowo wyrażało kokieterję i jakiś demoniczny, niesamowity temperament; a gdy usta milczały — oczy mówiły wielce ogniście i zachęcająco nawet wówczas, gdy usta odezwały się szorstkiem słowem — u tej tu, gdy z za przysłoniętej źrenicy odchyliły się niebieskie oczy, przeglądała jakaś dziewicza, dziecięca nieśmiałość.

Z zachodem słońca odprowadziłem panie Derdowskie do domu, dworku położonego w końcu miasta, prosząc przy pożegnaniu o pozwolenie złożenia im w stosowniejszej porze swego uszanowania.

Odtąd dość często odwiedzałem dworek za miastem, uprzejmie zawsze przyjmowany, nie wiedziałem właściwie, w jakim celu lub zamiarze tam chodzę. Panna Mania, jak ją matka nazywała, swą sielską prostotą zajęła mnie wprawdzie i pociągnęłaby jeszcze daleko więcej, gdyby nie tamta, od której dusza z zaciągniętych pęt oswobodzić się nie mogła. Czyżby przez tę krew wyssaną nastąpiło jakieś połączenie z tą dziwną istotą, powstał jakiś mistyczny związek? — Z drugiej strony raziła mnie też skromność i brak wszelkiej kokieterji u panny Mani; niezwyczajna, zakonnicza prawie wstydliwość, do której u niemek nie byłem przyzwyczajony. Starałem się nakłonić ją do rozmowy, poruszając dłuższe, rozmaite tematy, więc pytałem o tutejsze polskie towarzystwa, o młodzież, o zabawy, o osobiste upodobania,

o to co czyta i co ją zajmuje. Na wszystkie pytania odpowiadała tylko półsłówkami, niedopowiedzeniami, z których trudno było poznać jej zapatrywania życiowe, charakter, usposobienie, wreszcie wykształcenie. Dowiedziałem się tylko, że dużo czytała, że literatura nasza nie była jej obcą, iż nie jest domorodnym kaszubskim wytworem, małomiasteczkową gąską; — pozatem była nieodgadnioną.

Jeden raz tylko, gdy matka wyszła i zostaliśmy sami, odważyła się dać inicjatywę do rozmowy i zadała dość dziwne pytanie.

— Pan mieszka u pani Dewitz, nieprawda? —

— Tak jest — odrzekłem powoli, zaskoczony najmniej spodziewanem pytaniem.

— Ona ma córkę — dodała po namyśle.

— Tak jest.

— Bardzo przystojna.

— Przystojna? . . . Takbym tego nie nazwał. . .

— Niepodoba się panu? —

Niewiedząc co odpowiedzieć, rzekłem wymijająco:

— Orzeczenie „przystojna" inaczej pojmuję.

— To dziwne, bo ona się wszystkim mężczyznom podoba, nazywają ją „piękną Resi". — To mówiąc patrzyła mi pierwszy raz w oczy badawczo i z dziwnem ożywieniem. — Czułem jakieś zmieszanie, jakiś wstyd pod tem wejrzeniem, przeszedłem więc na inny temat rozmowy i wnet też, czując pewien niesmak i niepokój, niezadowolony ze siebie, opuściłem gościnne progi dworku pani Derdowskiej. —

Czyżby to skromne dziewczę, które posądzałem o naiwność dziecka, odgadło, czem się zajmują moje myśli i czytało w duszy mojej?

IV.

Małe kółko znajomych polskich w Kartuzach powiększyło się jeszcze o jedną osobę.

Wieczorem w hotelu Wittstock, gdzie się stołowałem, spotykałem różnych gości, przeważnie naturalnie, jak w owe czasy wszędzie niemców urzędników, okupujących wszystkie polskie miasta i miasteczka, zajmujących wszelkie stopnie urzędów od listonosza do landrata włącznie. Z nimi łączyli się żydzi, jak zawsze z mocniejszymi, więc słychać było w lokalu tylko szwargot niemiecko-żydowski. Gospodarz pan Buckmann ile możności chcąc uprzyjemnić pobyt swym gościom, nieznarowionym w rozrywki mieszkańcom Kartuz, starał się zaprowadzić u siebie „deutsche Gemütlichkeit". Do niej należało wzajemne zapoznanie się obecnych, co umiał przeprowadzić dość zręcznie i pomysłowo, grupując swych gości według stanu i profesji. Tam też poznałem kolejno kilku „Sztamgastów" hotelu Wittstock: lekarza, aptekarza,

żelaźniaków, korzennika, drogerzystów i t p. małomiasteczkową honoratę, stojącą na uboczu od niżej i wyżej położonej hierarchji — nadto, któregoś dnia, zrobiłem też znajomość z panem Wojciechem Budziszem. Był to jedyny polak, jakiego w tym czasie poznałem, ziemianin, właściciel, znajdującego się w pobliżu Kartuz, folwarku. Usiadłszy przy jednym stoliku, mówiliśmy oczywiście po niemiecku — dopiero później, gdy pozostaliśmy sami, szepnął do mnie po polsku.

— Pan z pewnością nie niemiec?

— Tak, jestem Polakiem odrzekłem, przypominając sobie napomnienie Forstmeistra, również przyciszonym głosem.

— Poznałem to po pańskiem nazwisku — i pan urzędnikiem nadleśnictwa państwowego?

— Do tymczasowej dyspozycji tylko.

— Jest więc pan tutaj niejako na próbie. Rozumiem, mówmy więc lepiej po niemiecku.

Dalsze wynurzenia, wymiany myśli odbyły się w obcej i jak nie mogło być inaczej, w nienawistnej nam gwarze. Takie były wtedy czasy w Kartuzach, jak i na całem Pomorzu, nieinaczej i w Poznańskiem.

Okazało się, iż Budzisz był zamiłowanym nemrodem, znalazł się więc gotowy, a tak obszerny przedmiot do omawiania — temat, jak wiadomo, u myśliwych nigdy niewyczerpany, a chociaż nie byłem doświadczonym myśliwym i sam mało epizodów z tej dziedziny przeżyłem, to wszakżeż wychowany w lasach i jako syn leśnika byłem niezłym strzelcem i łowiectwo samo w znaczeniu teoretycznem i prawidłowem nie było mi

też obce. W dyskusji poruszaliśmy nietylko interesujące zdarzenia myśliwskie własne i obce, ale niemniej i literaturę myśliwską: mówiliśmy o jej braku w Polsce, o trzech dwutygodnikach fachowych, reprezentujących tak skromnie interesa łowiectwa na wszystkie trzy zabory. Mówiliśmy o myśliwskiej sztuce malarskiej i plastycznej w Niemczech, stojącej na tak wysokim stopniu rozwoju, podczas gdy w naszym świecie artystycznym nie widzi się nawet prób pójścia w ich ślady. O przyczynie tego rozwodziliśmy się długo, uzgodniliśmy nasz ostateczny sąd i uzasadniliśmy powody smutnej rzeczwistościyi brakiem zainteresowania się łowiectwem szerszej warstwy inteligencji, a jednocześnie u miłośników przyrody.

— Myśliwstwo uważa się — mówił Budzisz — jako feudalny przywilej, okupowany przez wielkich posiedzicieli i magnatów, częścią traktuje się u nas jako pański sport, jako zabawę klas uprzywilejowanych, zawistnem okiem obserwowane w dobra ziemskie nieuposażonych. I jest ono niestety u tych uprzywilejowanych klas w egoistycznym samodzierżstwie. Ci, którzy mają na to, zakładają dla swej zabawy bażanternie, królikarnie i inne kosztowne parki zwierzęce, jako urządzenia i zabawy sportowe, jeżdżą po wrażenia i przygody myśliwskie do krajów egzotycznych, nie znajdując zrozumienia dla właściwej kultury, która leży przecież nie w samolubnym pojęciu łowiectwa i jego wyzyskaniu, ale w jego zdemokratyzowaniu, t. j. spopularyzowaniu miłości do przyrody ojczystej, nieodłączonej siostrzycy myśliwego.

Następnej niedzieli znalazłem się pod wieczór w kartuskiej leśniczówce. Uprzejmemu zaproszeniu

Jahnkego niepodobno było odmówić; chciałem też zaskarbić sobie życzliwość współkolegów na nowem stanowisku. Krótka znajomość z Hegemeistrem dała mi sposobność poznania w nim towarzysza z dziwną domieszką niemieckiej dobroduszności, połączonej z poczciwą rubasznością, a niepozbawionego pewnej inteligencji. W każdym razie była to typowa, oryginalna, a niecodziennie napotykana osobistość, która w monotonnem małomiasteczkowem życiu dawała dużo urozmaicenia.

Leśniczówki pruskie były budowane wygodnie, czasami nawet luksusowo; dom mieszkalny, podobny do małego dworku przytykał do podwórza, otoczonego murem lub malowanym płotem. Piękny ogród owocowy i kwiatowy znajdował się z przodu domostwa. Leśniczówka Hegemeistra nie różniła się naogół od innych, jedynie właściwością samego gospodarza.

W bramie powitały mnie dwa żółte jamniki głośnem szczekaniem; za nimi poważnym głosem odezwał się z przynależna godnością na uprzywilowanem stanowisku piękny, rasowy seter. Krzywonóżki osaczyły mnie jak dzika, ujadając zawzięcie, ale legawiec zmiarkował widocznie prędzej niewłaściwość takiego postępowania wobec gościa, bo machając strychulcem, zbliżył się do mnie z zaufaniem. Koniec psiemu powitaniu położył sam gospodarz ukazaniem się na widnokręgu z energicznem: cicho banda!

— A do demba! to na pana sekretarza szczeka ta hołota — zawołał zbliżając się ku mnie i wyciągając rękę — witam, witam! Przestańcie nareszcie! — fuj leżeć! zwrócił się jeszcze raz do niemogących się

... — Przedstawiam panu Jakóba, stróża tego państwa — rzekł z powagą Jahnke, wskazując ptaka, z filozoficznym spokojem przechadzającego się szerokim krokiem...

uspokoić jamników — proszę bliżej, to była, że tak powiem, dobra myśl kolegi, dziś, przy świętej niedzieli, odwiedzić samotnika.

— Jak widzę, u pana Hegemeistra mały ogród zoologiczny — zauważyłem, odwzajemniając uściśnienia podanej sobie prawicy.

— Jeżeli kolegę interesuje, to możemy go naprzód obejrzeć.

Udaliśmy się więc już przy uspokojonej psiej asyście, w głąb schludnego podwórka, jakie zwykle otoczone zabudowaniami gospodarczemi znajdują się przy leśnictwie państwowem. Uwijał się tam wszelkiego rodzaju drobiazg wydając głośne tony. Stado gołębi frunęło przed nami i krążąc jakiś czas nad budynkami, usiadło na pobliskim dachu.

Z powodu mego przybycia, wszystko się poruszyło; tylko niezwykły gość — o stalowym połysku — czarny kruk, kręcąc naprzemian to głową to ogonem, przechadzał się wśród biało upierzonego towarzystwa.

Przedstawiam panu Jakóba, stróża tego państwa — rzekł z powagą Jahnke, wskazując ptaka, z filozoficznym spokojem przechadzającego się szerokim krokiem — przed jego potężnym dziobem mają szacunek nawet te małe łobuzy, które jak pan się przekonał, nie respektują nawet królewskiego sekretarza nadleśnictwa.

— A skąd on się wziął tutaj? — zapytałem, przyglądając się pociesznym ruchom osobliwego stworzenia.

— Skąd i dlaczego tu przywędrował, odparł Jahnke, wyciągając z kieszeni i rzucając krukowi chrabąszcza

— on sam mógłby tylko na to rzetelnie odpowiedzieć. Prawdopodobnie młodość swą przebył w podobnem jak dzisiaj otoczeniu, awanturniczy pociąg, pragnienie swobody, a najwięcej jeszcze może miłość, pociągnęła go w świat — a bieda, jak to i w życiu człowieka bywa — przygnała go znów w zacisze domowe. Podczas ostatniej ciężkiej zimy (śnieg leżał na pół metra) przyleciał tutaj ze stadem czarnych towarzyszy i gdy ci dalej pofrunęli, porzucił małżonkę, czy kochankę, powiedział sobie: niema głupich! — usiadł tu na płocie i ku niemałemu przerażeniu pierzastej gawiedzi — głośnem krakaniem oznajmił swoje pokojowe zamiary. Dotąd wiosenne uczucia go jeszcze nie owładnęły — ale jak długo to potrwa? — Kolega już pewno zmiarkował, iż miłość to paskudna, że tak pomiem — instytucja, i spoglądając na mnie ukosem dodał: i nietylko dla ptaka...

— Ale chodźmy dalej.

Pomiędzy stajnią, a domem mieszkalnym ciągnęły się wzdłuż muru większe i mniejsze klatki, obite siatką drucianą. W pierwszej z rzędu znajdowała się para lisiąt, która za zbliżeniem się naszem umknęła do zbudowanej dla nich nory, ciekawie a podejrzliwie wyglądając z jej wnętrza. Tylko czarne nosy i zielone ślepia świeciły z otworu.

— To reszta z całego pomiotu, które zdołałem jeszcze wydobyć Flikowi i Flokowi żywe z kłów — to mówiąc rzucił im do klatki kilka suszonych śliwek, przydadzą się w jesieni do konkursu psów legawych.

— Czy do tego potrzebne są lisy? — zapytałem, przyznając się do nieznajomości.

— Czy kolega nie byłeś jeszcze na konkursie psów myśliwskich?

— Przyznaję się, że jeszcze nigdy.

— O! To rzecz bardzo zajmująca, w każdym razie zabawniejsza niż egzamin w państwowej akademji leśniczej, chociaż bynajmniej nie łatwiejsza.

Konkurs wyżłów legawych, czyli jak dawniej mówiono przepiórczych, składa się z sześciu części i według tego czworonożni kandydaci są egzaminowani: z pracy leśnej, z ciętości, z pracy wodnej, z pracy polnej, z aportowania i z ogłaszania lub wskazywania po tropie postrzałka. Dławienie lisa lub kota, według wyboru tresora, należy do tych i to niemniej ważnych zadań, przez które egzaminowany pies swą ciętość na drapieżniki wykazać jest obowiązany.

W szczegóły egzaminu takiego wchodzić tutaj nie mogę, gdyż osobny o tem musiałbym mieć wykład, powiem tylko, iż wytresowanie psa we wszystkich jego polach działania jest sztuką niepoślednią, trudniejszą od cyrkowej tresury konia lub małpy, i że nie było jeszcze psa któryby zadanie to z dobrym predykatem całkowicie wypełnił.

— Co pan mówisz — przerwałem — przecież mamy tyle doskonałych wyżłów, a przynajmniej każdy chwali się z posiadania pierwszorzędnego.

Z psami u nas, kochany kolego — odparł na to Jahnke, machnąwszy pogardliwie ręką — jest jak na polowaniu z myśliwym, z równą pasją biegnie za zwierzem, ten ze strzelbą, a ten z wietrznikiem, jedno i drugie może być najlepsze, ale używać ich umie tylko bardzo niewielu, bo rzadko i człowiek i pies odbiera należytą tresurę. Bez szkoły wszelkie stworzenie jest tylko surowym produktem natury.

Uwagi te Hegemeistra nie zupełnie trafiały mi do przekonania, więc też rzekłem z powątpiewaniem:

— Mówisz pan, iż jest bardzo niewiele dobrych i wyszkolonych psów, a gdzież się podziewują te liczne wyżły premjowane na konkursach?

— Psa tresowanego ściśle według Oberländera, jeżeli mu się udał, zachowuje każdy chętnie dla siebie, jeżeli go zaś z potrzeby sprzeda, to najczęściej takiemu, co ma duży worek, a mało zrozumienia dla prawidłowej tresury. Kupił dorobkiewicz Geldhab, ażeby się pochwalić, iż ma psa z pierwszą nagrodą — troszczy się o niego tyle właśnie, co o papugę, która mu w mosiężnej klatce zdobi salon; — uważa, aby był czysty i nakarmiony. Ale zapomina o tem, że ten pies, to nie referendarjusz, który złożył egzamin asesorski i może już być sędzią na całe życie. Wyżeł legawy, to jak akrobata, lub artysta muzyk, musi mieć bezustanną wprawę, ciągły trening, inaczej zatraci nabytą erudycję, czyli jak się mówi: zależy pole. To też tylko dobry myśliwy może sobie wychować na polowanie takiego pożytecznego towarzysza, ale i taki tylko może utrzymywać w nabytym wykształcenie alias tresurę.

— Ale dość tej psiej filozofji, chodźmy dalej. W tej klatce zamknąłem małego szkodnika, a jednocześnie naszego linoskoka i klowna leśnego. Przypatruję mu się tutaj i mam tanią zabawę — to mówiąc rzucił orzech, obracającej bębenek wiewiórce, która pochwyciła go z małpią zręcznością.

— Co do jej szkodliwości, to są zdania podzielone — zauważyłem — tak przynajmniej uczono nas w zoologji.

— A tak, pożera podobno także gąsienice, jak św. Jan na puszczy żywił się szarańczą, ale my — reszta śmiertelników innego na codzień używamy pokarmu, tak i wiewiórka zje gąsieniczkę, gdy przetrąciła przynależną ilością jaj, orzechów i innych owoców z naszych ogrodów. Wogóle, jako prawdziwy smakosz trzyma się ona jadłospisu sezonowego i jest to gość tego rodzaju, jak i niejeden w ludzkiej skórze, którego jak najprędzej z domu t. j. z naszego łowiska pozbyć się należy. Już jego czerwono-ruda barwa wskazuje to poniekąd, jeżeli mamy wierzyć utartemu przesądowi co do tego koloru, iż są w niej ukryte złe narowy. Jednym z nich jest obyczaj — posiadania wielu mieszkań, a że nie jest tak materjalnie uposażona, ażeby mogła architektowi dać zlecenie wybudowania, nie tyle też pracowitą, aby je samej sobie pobudować, posługuje się zatem prawem mocniejszego, okupując na wzór wielkiego mocarstwa obcą własność, a następnie urządzając się w nim według własnej wygody i widzimisię. Do tego celu służą jej gniazda większych ptaków, w których się urządza według pory roku, już to na letnie schronisko, na kryjówkę dla własnego lęgu lub też wreszcie w jesieni na śpichlerz, dla nagromadzonych zapasów żywności. Gniazda te, po całym lesie porozrzucane, ułatwiają jej zbiory. Nagromadziwszy orzechy i różne szyszki w swoich zapasowych magazynach urządza nieraz wyprawy i do rozległych siedzib ludzkich, łupiąc tamże wszelki owoc dla znajdujących się w nim ziarnek. Ogryza też z kory sosny, modrzewie i świerki, i wogóle drzewa iglicowe, znacząc na nich zębami figury w formie śruby lub prostokąta, skutkiem czego drzewka te często marnieją.

— Czyli — innemi słowy — według pańskiego zdania należy się jej bezwzględna zagłada, zauważyłem.

— Tak surowego wyroku — odparł Jahnke — nie wydał bym. Niema stworzenia, któreby nie miało racji bytu na świecie. — Jak to kolega zauważyłeś, żywi się wiewiórka i gąsieniczkami, spełnia więc i ona nadane jej przez przyrodę przeznaczenie. Powiedzmy tak: wiewiórka jest to miły i wesoły psotnik, że tak powiem małpka naszych lasów, dla której niepodobno stać się nieprzyjacielem, ale żyć z nią w wielkiej przyjaźni nam leśnikom, myśliwym i ogrodnikom też trudno, więc niechże sobie skacze w ograniczonej liczbie po lesie, skrzydlatym drapieżcom wypija jajka, ale gdy jego granice przestąpi — w ogrodzie czy bażantarni, tam kwita z przyjaźni.

Oglądaliśmy jeszcze dwie woljery, jedną z śpiewającem ptactwem począwszy od drobnego czyżyka, a skończywszy na wielkim śpiewaku kosie; drugą z jastrzębiami; wszystko to chwycił Jahnke różnymi czasy w łapki i samotrzaski, tak humanitarnie, iż nie poniosły żadnej widocznej szkody. Podziwiałem też, z jaką znajomością potrafił o każdym z nich podać szczegóły, które świadczyły o jego wielkiej znajomości zoologji. Każdy też z uwięzionych wychowańców z przygotowanych w kieszeni zapasów odebrał właściwe sobie smakołyki.

— O wszystkich kolega myślałeś i wszystkim dałeś odprawę, ale o jednym niemniej ważnym okazie swego zwierzyńca zapomniałeś — proszę daj mi kawałek chleba, chcę to zaniedbanie naprawić. To mówiąc rzuciłem podany sobie chleb stojącemu opodal kogutowi.

Piękny to był okaz, silne ostrogi, czerwona, zębata korona na głowie, lśniące miedziane upierzenie, w ogonie pióropusz o stalowym połysku. — Podniósł chleb, ale w tej chwili wypuszczając go z dzióba, doniosłem: gok, gok! — zwołał pierzaste małżonki, które chciwie o ten smaczny kąsek drzeć się i sobie nawzajem go wydzierać zaczęły.

— Oto okaz galanterji zwierzęcej — rzekłem, śmiejąc się — ile razy patrzę na ten objaw, porównawcze obrazy przychodzą mi na myśl, gdy ów homo sapiens, jako głowa rodziny wobec przypatrującej się małżonki i konsolacji zasiada do przygotowanej specjalnie dla siebie potrawy i zajada sam, aż mu się uszy trzęsą. — Jakżeż wyżej stoi w tym wypadku od nas ów rycerski ptak. — Wogóle sądzę, że człowiek mógłby, gdyby chciał, niejednego od zwierząt się nauczyć. . .

— Tak jest, masz pan rację — przywtórzył pospiesznie Jahnke — ze wszystkich stworów najmniej się Panu Bogu człowiek udał — miał On zamiar zlepić coś doskonałego, ale wziął kiepski materjał, nad planem też nie pomyślał i powstała konstrukcyjna fuszerka.

— Co pan mówisz, przerwałem — chcąc położyć koniec dalszym niewłaściwościom.

— Co, może nie? Tysiąc przykładów! — zawołał porywczo machnąwszy ręką — otrzymał możność pięknego mówienia, a szczeka nieraz gorzej od mojego Tella; ma on rozum subtelny, ale na to tylko, aby drugich okpiewać; serce dano mu do miłości i kochania, ale jednocześnie i miejsce w wątrobie do złości i nienawiści; pies gryzie, gdy warczy, a człowiek cichaczem zapuści żądło jak gad. Czyż nie tak!

— Nie wszystko mogę potwierdzić — rzekłem z niechęcią, bo. . .

— Boś młody kolego i idealista — nie dając mi dokończyć, rozpoczął znowu — nauczysz się inaczej. . . Co powiedziałem, to nie jest wszystko, jeszcze nie mówiłem nic o tem paskudnem sobkostwie, za które — jak mi sam mówiłeś, człowiek przed tym kogutem rumienić się powinien, ale nie przy samej misce tylko — to mały epizod z całego szeregu egoizmów ludzkich. — Okażą ci to niejednokrotnie, kolego, twoje doświadczenia życiowe, począwszy od zająca, którego na stanowisku, przy nagance, ubił ci przed samemi lufami zazdrosny sąsiad, a skończywszy na stanowisku życiowem, które ci kochany towarzysz przez podstawienie nogi zajął podstępnie. A cóż dopiero powiedzieć mogą o tem owe straszne katastrofy, od których swojego czasu zadrżał od grozy cały świat, jak pożar Ringteatru we Wiedniu, Bazaru Dobroczynności w Paryżu lub zatonięcie Titaniku na Oceanie, tam bezwzględność męska przeobrażała się już w nikczemną brutalność, tam bito i kopano niewiasty, aby ocalić własne życie. A cóż dopiero pokaże nam wielka wojna, której wybuchu z roku na rok oczekujemy? Tam wykaże się prawdziwe zwierzę, którem w istocie jest człowiek. Nie, kochany kolego, piękną miał Pan Bóg myśl, stwarzając człowieka na podobieństwo swoje, ale gniotąc glinę aby go ulepić na chwilę nie dopatrzył, a antagonista dobrego wypłatał figla, przyprawił mu w tym czasie rogi i pazury i uperfumował go siarką i smołą.

Widać, iż temat ten dawno leżał mu na sercu, a wybuch nagromadzonej goryczy czekał tylko na od-

powiednią chwilę. Religijnie wychowany, nie byłem przyzwyczajony do słuchania krytyki boskich zarządzeń, to też z niechęcią odparłem:

— Stwórca dał nam nieograniczoną możność kształcenia duszy i ciała, a więc dał możność wyrabiania dobrych i złych instynktów według własnej woli, a tylko wpływy złe i pobudki samozachowawcze pobudzają nieraz przy słabym charakterze do wypielęgnowania czynów niegodnych ludzkości, do przekroczenia przykazań danych nam przez Stwórcę.

— Czyli — odparł Jahnke — odwrotnie rozumując, nie jest człowieka zasługą, że jest dobrym, gdy nie miał sposobności stania się złym, czyli jeszcze krócej mówiąc: ludożerca człowieka by nie pożarł, gdyby miał na półmisku nosorożca,

— Co pan za teorje wygłaszasz — odezwałem się znów już mocno podrażniony — przestańmy, bo niemiło słuchać i dziwi mnie...

— Pana to dziwi — przerwał mi znów, tym razem z niezwykłym spokojem — więc wiedz, iż nie w lesie się urodziłem i nie myślałem, iż żywot swój tu zakończę. Moje aspiracje do życia szły wysoko i może byłbym je osiągnął, gdyby nie — ot, gdyby nie to — co twierdzę — fałszywa konstrukcja organizmu, z której człowiek jest zbudowany. W Indjach stawiają z marmuru złotem ozdobne pagody, aby umieścić w nich małpy, które gmachy te zanieczyszczają, tak samo w człowieku, zewnętrznie doskonałym, znajduje się często małpia słabostka, która przewraca w nim koziołka i zaczyna błaznować. Jedna spódnica, a całe przedsięwzięcie życiowe, wszelkie aspiracje idą, że

tak powiem, psu na budę Nie kpiny to — nie małpa to w pagodzie?!

To mówiąc splunął i zamilkł na chwilę, jakby myślą śledził przejścia lat ubiegłych.

— Zawód życiowy i zawód miłosny w wieku pańskim — począł znowu, kręcąc nerwowo brodę drżącą ręką — to rzecz czasem straszna. I ja zmarnowałem w sobie przy podobnych wstrząśnięciach najlepsze przekonania — ideały życiowe i po długiej walce, wpadając z jednej ostateczności w drugą, znalazłem się... w seminarjum. Ale przekonałem się wkrótce, iż metamorfozy wewnętrznej nawet Owidjusz nie wymyślił. Trudno bowiem stać się kapłanem, trudno wygłaszać człowiekowi słowa nauki, gdy sam okazał się niemądrym; głosić słodkie słowa miłości bliźniego, gdy człowiek by wył z boleści — porzuciłem i to i uciekłem do boru... pomiędzy zwierzęta i zostałem borusem. Mógłbym osiągnąć coś wyższego może, mógłbym zostać jakim forstassesorem lub forstratem — ale cóż mi po tem... deptać miejskie bruki, zajęczą łapą okurzać akta i rejestra? Co mi potem, nie lepiej tak? W borze ryk jelenia i tok głuszca, to moje obecnie organy. Bydlęta, któreś kolega widział, to moje wychowanki, kultury leśne, to moje dzieci, a o moje grzeszne ciało zabiega kwoka w ludzkiej skórze, moja Małgosia. Stary to rocznik, wolny od miłosnych emocyj. Przed jej panieńskiem okienkiem, nie urządzimy już rykowiska, ani ty — ani ja, chodźmy do domu, trzeba jej powiedzieć, że mamy gościa.

Weszliśmy do sieni, a z tej do jasnej i dużej izby; za nami wcisnęły się nieufne i podejrzliwe zawsze

jamniki, a za nimi podążył poważnym krokiem Tell, pewny siebie i zajętego uprzywilejowanego stanowiska.

— Grete, mamsell Grete! — huknął Jahnke, jak gdyby się znajdował w lesie — proszę wyjść ze swojej nory, mamy gościa.

W progu kuchni ukazała się jejmość: rumiana jak dojrzały pomidor, włosy gęstą siwizną przyprószone, białym czepcem były ozdobne. Mówiąc terminologją Hegemeistra: dobrze łojna — gruba, kraśna sztuka; racice spoczywały w dużych rozdeptanych chodokach. Miał słuszność, rocznik taki tylko w gąsiorku węgrzyna mógł wywołać ludzką pożądliwość.

Podczas gdy Jahnke wydawał dyspozycję przyjęcia, w której zapowiedziana myśliwska kiełbasa niepoślednią odgrywała rolę, rozejrzałem się po pokoju. Urządzeniem, meblami i akcesorjami codziennego użytku cechował on wymagania człowieka, w nim zamieszkującego; skromna kanapa i kilka krzeseł skórą obitych, na ziemi w miejsce dywanów, rozesłane skóry sarnie i jaźwców, przy oknie biurko obszerne z aktami i różnemi rejestrami służbowymi, a przy ścianie wielka szafa, przez której szklane drzwi, świeciły złote napisy ozdobnie oprawnych ksiąg. Strzelby, kordelas i trąbka myśliwska wraz z kilku reprodukcjami Zimmermanna służyły za główną ozdobę mieszkania.

U tak wybitnego myśliwego podpadał wszakżeż brak prawie zupełny na ścianach lepszych trofejów myśliwskich; oprócz pięknie preparowanego głuszca, kilku dość marnych parostków i parę zrzutków wieńcy jeleni, innych zdobyczy nie było tam wcale. Gdym mu pod tym względem wyraził swoje zdziwienie, rzekł:

— Szewc dobry zawsze w najgorszych butach chodzi; widzi kolega, przychodząc na świat nie byłem dosyć przezorny w wyborze rodziców i zamiast wyszukać sobie za ojca jakiego dziedzica z 25 tysiącami morgów, pozwoliłem bocianowi wrzucić się przez komin do chałupy. Ci co mają dobre łowiska nie wpuszczą, mój przyjacielu takich jak my chłystków ze strzelbą do rewiru. Choćbyśmy tak strzelali, jak ś. p. Astor lub Tell, lub byli tak prawymi, jak święci Eustachy lub Hubertus. Tak, gdybyśmy to byli książętami krwi jak np. Lippe Detmold lub choćby przynajmniej regierungsprezydenci z Bukstechude . . . tak, to co innego. . . To mówiąc zapalił fajkę i począł wyrzucać gęste kłęby dymu.

— Tem więcej więc podziwiać muszę, to zamiłowanie pańskie do zwierzyny.

Pan Bóg i takich głupców stworzył, którzy czczą Stwórcę w stworzeniu, którym wystarcza, gdy hodują dla drugich — odparł z zwykłą ironją Jahnke. Tu ukazała się znów Greta, niosąc na tacy małą baterję butelek z ciemnym bawarskiem piwem i postawiła przed kanapą na stole, nakrytym czerwonym obrusem.

— Od tego musimy zacząć — rzekł Jahnke, nalewając szumiący trunek do szklanek — po tak ciężkiej filozoficznej rozprawie warto gardło przepłukać; — kto wie, co koledze przychodziło do głowy, gotów byłeś wziąć mnie za „Wolnego strzelca" i posądzić może o namowę pójścia na djabelski sabat i lania zaczarowanych kul w „wilczych dołach". Więc pragnąłbym cię cokolwiek uspokoić, co też — oświadczam tu uroczyście jako prawowierny chrześcijanin: miał Pan Bóg

bądź co bądź i wcale mądre pomysły twórcze, które mu się znakomicie udały np. że stworzył chmiel i jęczmień; gdyby tych nie było, nie byłoby ani browaru, ani piwa a w konsekwencji, nie mielibyśmy czem zapić tej sprawy: prosit!. . .

— Prosit! Trąciliśmy szklanicami

— A więc na dobrą przyjaźń — dodał i potężnym łykiem opróżnił połowę szklanicy, a postawiwszy ją na stole, zapytał nagle:

— A gdzie pan mieszka?

— U pani Dewitz.

— U kogo?

— U pani Dewitz — powtórzyłem.

— U tego djabła szorującego — a toś się ulokował.

— A przecież miałem zamieszkać u Niemki.

— Patrzcie go! — jaki summienny — a czy czasem nie pewne czarne ślepki zadecydowały o kwaterze?

— Mylisz się pan — wielki porządek i czystość mieszkania. . .

— Tak, tak! — niech ją kaci z jej czystością, nim się przestąpi próg pokoju, każe wchodzącemu buty ściągać. Raz tam byłem z jakimś interesem, a ona najpierw patrzy człowiekowi na nogi i zamiast „dzień-dobry" — „jakie ma pan buty" woła. Myślałem, że się jej krój moich cholewek nie spodobał, a to jej trochę kurzu na obsadzie zawadzało. Musiałem, chcąc nie chcąc radykalnemu poddać się czyszczeniu. A to Herod baba, . . . no, ale córka niczego — prawda? — Tu Jahnke przymrużył jedno oko i spojrzał na mnie z ukosa.

— Prosit!

— Prosit!

Trąciliśmy i drugie pół szklanki złączyło się z pierwszą. Otarłszy brodę i napełniwszy znów obie szklanice po brzegi, rozpoczął tym razem już z pewną powagą:

— Prawdę mówiąc wolałbym, ażebyś znalazł sobie inną kwaterę; przy tej babskiej czystości mogą wyniknąć, ani się człowiek obejrzy, nieczyste rzeczy. No, no! — to niebezpieczny kaliber, a zwłaszcza dla młodego — z gorącą polską krwią. Tam siarka — tu proch — łatwo o płomień i co za tem idzie — o poparzenie, żalby mi było, gdyby cię tam kolego na pierwszem tokowisku zastrzelono.

— Śliczny okaz głuszca — zauważyłem, pragnąc dać inny obrót niemiłej mi rozmowie — zdobyłeś go pan niezawodnie w tutejszych rewirach. Jak słyszałem mamy tu jeszcze sporą liczbę tak rzadkiego już dzisiaj ptaka.

— Tak jest! mamy głuszce w rewirze Kienbruch i to na nasze niemałe utrapienie.

Ze zdziwieniem spojrzałem na mówiącego.

— Obfity w zwierzynę rewir, a zwłaszcza rzadkie u nas i cenne trofea, są dla małego leśnika państwowego nieraz powodem wielkiej mitręgi. Ten głuszec mógłby o tem także coś opowiedzieć. — Ale wpierw trzeba gardło odświeżyć.

— Prosit!

— Prosit!

Zapaliwszy znów fajkę, która mu wśród żywej dyskusji często gasła, rzekł:

— Tytuł opowieści, jeśli kolega jesteś jej ciekawy i pragniesz słyszeć, możnaby nazwać: Dwa razy zastrzelony.

— Ależ proszę mówić słucham — z wielkiem zajęciem.

— Usadowiwszy się wygodnie na kanapie, rozpoczął Jahnke — otóż głuszca tego zabiłem rzeczywiście tutaj, ale nie myśl czasem kolego, iż stało się to dla jakiegoś uhonorowania mojej skromnej osobistości, gdzie tam! — tego niema w królewskiem nadleśnictwie kartuskiem. Tu działała polityka utylitarna, oparta na wzajemności. Panu Hegemeistrowi chodziło poprostu o pozbycie się lisów. Potrzeba było tej szczególnej niegodziwości rudych opryszków, aby sobie jamę małżeńską urządziły pod samem nadleśnictwem i, co która kokoszka pani Forstmeistrowej pokazała się poza parkanem, przepadła zaraz z kretesem — więc po Flika i Floka do Jahnkego.

— „Dobrze" mówię — „panie Forstmeistrze, jamniki zrobią swoje ale co będzie za to?" — „Jak to" — pyta srodze obruszony — „to pan od kolegi myśliwego żądasz za taką przysługę zapłaty?" — „Nie zapłaty" — ja mu na to ze spokojem — „ale również myśliwskiego honorarjum" — za pożyczenie jamników, jednego głuszca na tokowisku. „Głuszca, głuszca" — mruknął z niechęcią — „no proszę, a co będzie jak książęta przyjadą?"

Mądrala zapomniał — widocznie, iż oprócz wysoko urodzonego państwa i inni boczkiem za jego pozwoleniem na i. . .

Tu skrzywił Jahnke palce i przebierał nimi znacząco.

— Co pan mówisz — przerwałem — to Rumbaum taki zazdrośnik.

— I chciwy i zazdrośnik, ale nie na trofea, tylko na zwykłą mamonę. Każdy kozioł, każdy głuszec i jeleń

mają w ogłoszeniach „Wild und Hund" i „Deutsche Jaeger Zeitung" cenę u niego, o tem przecież wróble świergocą na dachu. . . No, i zresztą ani to zbrodnia, ani żaden kryminał. Przecież polowanie jemu oddane, może odstrzał sam zrobić, może zaprosić i przyjaciół, a co to za „przyjaciele" i w jakiej gazecie ich znalazł i z jak wysokiej przyjaźni im to uczyni, to już rzecz jego własna. Słyszałeś pan, jak się o koszta łaty na spodniach moich handlował, chociaż to chodziło tylko o kieszeń pana Fiskusa, a cóż dopiero, gdy sprawa się toczyła o trzy „niebieskie łaty"*), które wówczas za głuszca płacono. Ale i ja się zaciąłem: bez głuszca nie będzie jamników! — zadecydowałem ostatniem słowem. Trzeba było, aby mikity zjadły jeszcze ulubieńca białego koguta, by ostatecznie handel przyszedł do skutku.

I poszło wszystko pięknie i zgodnie; jamniki zrobiły swoje, lisy dzięki Flikowi i Flokowi poszły do kuśnierza na grzędę, a głuszec zawisł u mnie na ścianie. I nastał znów europejski pokój pomiędzy kurami i lisami, mną i Forstmeistrem aż do wiosny przeszłego roku, w którym to czasie wydarzyła się nowa awantura.

— Przyjechało na tokowisko zapowiedziane od tygodnia, jedno z tych wielkich zwierząt, które tam w Austrji arcyksiążętami zowią. Już parę tygodni przedtem uderzono tu na alarm i wszyscy leśnicy musieli w swoich rewirach zasadzać głuszce. Ostatecznie kolega Szulc w Smolnem błocie, co było do

*) Blauen Lappen nazywano w Niemczech niebieską stómarkówkę.

przewidzenia, nasadził ich najwięcej. Nie zazdrościłem mu tego honoru, bo nie lubię tych, przez nos gadających potentatów, którzy, gdy z cygarniczki udekorują jednego z nas orderem „Wirginji"*), mają to za wielkie odznaczenie. I wszystko układało się dobrze. Arcyksiążę przyjechał w sam czas, co tym panom rzadko się zdarza, koguty grały, jak pełna orkiestra, sądziłem więc, że wszystko pójdzie według dawnego zwyczaju i ułożonego programu, t. j., że Rumbaum po tej wizycie, jaką wazę w salonie postawi, a Szulz jaką srebrną cygarniczkę schowa do kieszeni. Miałem zresztą pilne zajęcie przy kulturach, więc się już o te dworskie odwiedziny nie troszczyłem zbytnio.

Jakoś trzeciego dnia, a była to niedziela, spotykam w mieście po nabożeństwie Hegemeistra Lubitza z Kossowa. „A cóż arcyksiążę?" pytam. „Dziękuję zdrów i on i koguty", odpowiada uśmiechając się znacząco.

— „Jak to mam rozumieć?"

— „A to tak — że koguty jego postrzelić nie mogły, a on ich też nie, bo żadnego nie trafił".

— „Jakże to możliwe, czem on strzela?"

— „Śrutem".

— „I śrutem trafić nie może, poco on tu przyjechał?"

— „A kaci go wiedzą, Rumbaum zrozpaczony, bo mu z Berlina podobno od samego kronprinca to książątko szczególnie polecono, i teraz taki blamaż."

Ciekawość mię wzięła, więc poszedłem do nadleśnictwa. Tam zastałem obydwóch Szulców, Lipkaua i Krebsa, a nadto długie nosy u wszystkich, a najdłuższy u pożałowania godnego Szulca z Smolnych błot-

*) W Austrji znana nazwa cygara.

Arcyksiążątko po nocnych trudach i pudłach jeszcze spało. Kazałem sobie całe zdarzenie jak najdokładniej opowiedzieć; ile i gdzie nasadzono kogutów, jak grały, jak je podchodzili i jak poszło z niefortunnem strzelaniem.

— „Słuchaj Szulz", — mówię, „chodź do Rumbauma musimy się naradzić".

Forstmeistra zastaliśmy chodzącego po kancelarji wypuszczającego kłęby dymu z fajki i sapiącego jak ciężko ranżerująca lokomotywa na dworcu. Spostrzegłszy mnie wyjął z ust fajkę i mruknął.

— „Co pan tu chcesz? Dzisiaj niedziela — nie urzęduję. Dać mi do djabła spokój!"

— „Ja też nie na anielskie nabożeństwo tu przyszedłem, jak słyszę i widzę, kaduk odprawia tu egzercycje". Z taką tylko repliką można z nim gadać.

Gdy z konfuzją wytrzeszczył ślepie, tak ja mu na to:

— „Panie Forstmeister", — zacząłem bez ogródki, — to głupi interes, ten arcyksiążę, jak to ze wszystkiego, co słyszałem wątpić nie można, w życiu swojem głuszca na tokowisku nie zabije.

— „Jak to nie zabije? Czemu niema zabić?"

— „Bo ma kurzy patrz". —

— „Jakto kurzy patrz?"

— „Powiedzmy więc: kurzy wzrok, w ciemności, gdy koguty grają nie widzi — więc skąd ma zabić"! —

— „Zum Deibel! może pan ma rację" - zawołał.

— „Ja mam zawsze rację i na wszystko sposób i znalazłaby się i na to rada, jeżeli panu Forstmeistrowi na tem zależy, aby ten gość austryjacki, choćby z jednym głuszcem wyjechał z Kaszub".

— „I co pan sądzisz, żeby tu można zrobić?"

— „Okularami się nie pomoże, tu trzeba się wziąć na inne sposoby, — ale zresztą to moja rzecz. Ja się zobowiązuję do pojutrza gałązkę jedliny zatknąć mu na kapeluszu*), ale"...

— „I cóż za „ale"? — pyta niedowierzająco.

— „Ale muszę mieć wolną rękę, wolne pole działania, — i dla siebie oprócz cygara, którym mnie Jego Wysokość uszczęśliwi, jeszcze coś realniejszego, krótko mówiąc: dwunastaka lub dwa kozły kapitalne; według łaski do wyboru pana Forstmeistra".

— „Panu się zdaje, że dwunastaki rosną jak szyszki na drzewach?".

— To wiem, że nie, bobym je sobie pozbierał, a nie prosił.

Przypomniał sobie stary kutwa lisy przy nadleśnictwie a wiedząc, że ze mną niema rady, chociaż w duchu z pewnością obliczył, wieleby mu przyniósł odstrzał takich sztuk od jakiego berlińskiego bankiera — więc z wahaniem i po kilku próbach utargowania cośkolwiek w końcu przystał.

— Wymówiłem sobie jeszcze, iż pod pozorem wyszukania nowych tokowisk arcyksiążę tej nocy w knieji się nie pokaże.

— I tak się stało.

— Plan mój był łatwy do wykonania. Przedewszystkiem należało ubić głuszca, cośmy też w następnym poranku z Szulcem uskutecznili. Mojego wypchanego zaś w pozycji tokującej umieściłem pięknie na drzewie w widocznem i stosownem miejscu, gdzieby

*) Zwyczaj łowiecki po zabiciu szlachetnego zwierza.

za pociągnięciem sznurka przekoziołkował się i zniknął w gałęziach sosnowych; drugi zaś, przez nas ubity, spoczywać miał tymczasem pod drzewem.

We dwójkę z Szulzem ułożyliśmy ten „kintop" i we dwójkę też go wykonaliśmy.

— I poszło wszystko dobrze i gładko. W nocy dnia następnego usadowiłem się na sąsiedniej sośnie dobrze ukryty z sznurkiem w ręku i ze świtem zacząłem moją miłośną grę. Naśladowałem nieźle — przynajmniej dostatecznie dla takiego dworskiego fryca.

Przyznam się wszakże, iż widząc ich zbliżających się, miałem pewne emocje i ciarki po skórze chodzić mi poczęły — bo nuż, ta ślepa kura, chociaż to już dobrze widniało, przez pomyłkę weźmie mnie za koguta i gruchnie na moją sosnę?! Ale ostatecznie, gdym go z długiemi nogami, jak zrywającego się żórawia, zoczył skaczącego ku mnie, wziął mnie śmiech — i gdy huknęło i śrut świsnął, patrzałem na mego wypchanego głuszca, czy aby tym razem co nie oberwał.

— Trzeba mu jednak oddać honor: był konsekwentnym — spudłował i tym razem.

— O mało jednak nie wydała się wkońcu, cała nasza ramota. Arcyksiążęca mość raczył pójść sam, raczył podnieść i wziąć „zdobyte" trofeum we własne wysokie swoje dłonie i raczył zauważyć — iż, zdaje się, że kogut ten jest już zimny. . ."

— Tableau!

— Tak jest, Wasza wysokość — odrzekł Szulz bez zająknienia — tokujące głuszce nietylko są ślepe, ale i zimne.

W ten sposób nietylko z kogutem, ale i wzbogacony nowem monograficznem odkryciem o głuszcu odjechał arcyksiąże do Wiednia.

V.

Po różnych jeszcze, ze zwykłą swadą i humorem opowiadaniach myśliwskich Jahnkego, przeplatanych częstemi „prosit" z odpowiednim akompanjamentem szklanic, późnym wieczorem wracałem do domu. Noc była ciepła i parna. W naturze panował spokój i cisza, w miasteczku ruch świąteczny ustał zupełnie. Nie chcąc przerywać snu mieszkańcom domu, cicho i ostrożnie wszedłem do pokoju, gdzie powietrze było prawie gorące. Aby jeszcze raz odetchnąć świeżem, wiosennem powietrzem, zbliżyłem się do okna, nie zapalając światła.

Piwna libacja w połączeniu z parną atmosferą wywołała u mnie niezwykłe podniecenie; nie czułem potrzeby ani snu, ani odpoczynku, uczucie jakiegoś nieokreślonego pragnienia zawładnęło moją osobą. Sama natura zdawała się podniecać żar krwi i zmysłowe żądze.

Po niedzielnej swawoli miasto spało snem dziecięcym, żaden odgłos nie dolatywał ucha, żaden po-

dmuch nie orzeźwiał powietrza, nie poruszał liśćmi drzew. Słychać było brzęczenie komarów i gdzieś w oddali kwilenie sowy.

Wielki księżyc wysunął się powoli z za ciemnego lasu, rzucił snopy czerwonego światła i blednąc począł osrebrzać swem światłem, coraz to bielszem, coraz to jaskrawszem, dachy domostw, wierzchołki drzew, potem wznosząc się pomału coraz wyżej, odbił się w lustrzanej tafli jeziora, zajrzał ciekawie przez liście drzew do ogrodu i wciskał się niedyskretnie przez okna do wnętrza domostw.

Patrzałem z zajęciem na to widowisko przyrody tak zwykłe u nas, a zawsze takie nowe i piękne.

I znów jak wówczas, drzwi wychodzące do ogrodu otworzyły się lekko, i cicho jak ćma, a raczej jak igrający nietoperz, zsunęła się schodkami do ogrodu Resi, stanęła na ganku i jakimś ruchem niezwykłym, lubieżnym, wyciągnęła obnażone ramiona i w lekkich skokach, podbiegła do tuż przy domu, a wprost moich okien znajdującej się altany i znikła na chwilę w jej cieniu, aby ukazać się znów na jej płaskim dachu, w pełnem oświetleniu promieni księżyca.

Niezwykły to był widok; księżyc, rzucając słup światła zarysował jej postać na pobliskiem sąsiedniem domostwie, którego biał wybielona ściana odbiła jej sylwetkę we wszystkich szczegółach. Stała chwilę jakby w zamyśleniu, poczem raz jeszcze wyciągnęła obnażone ramiona, jakby pragnąc świat cały objąć w swoim uścisku. Spojrzała na obraz swój, odbity na ścianie i nagle rozpoczęła dziwny taniec. Zwrócona ku białej ścianie sama przypatrywała się swoim ruchom

„— Spojrzała na obraz swój odbity na ścianie i nagle rozpoczęła dziwny taniec. . . ."

jak w zwierciadle, to poważnym jak klasycznej Danken, to znów dzikim i namiętnym jak Ottery. Nóżka i tym razem bosa, krótka spódniczka i skąpo okrywający stanik tem plastyczniej uwydatniał ruchy tańczącej i jej postać. Patrzałem zdumiony, dech zatrzymując w piersiach. Cóż to za dziewczyna, warjatka, czy lunatyczka!?

— Panno Teresio! — zawołałem bezwiednie prawie.

— Ach to pan — znowu pan! Odpowiedział mi głos miękki, łagodny dziwnie, z odcieniem skargi czy wyrzutu.

— Czy pani nie chora?

— Chora? ja mam być chora? — Co za głupstwo!

— Bo . . . — myślałem — wyjąknąłem obawiając się nowej szorstkiej odprawy.

— Co pan myślał?

— Myślałem widząc panią tańczącą w nocy, tam . . . na dachu — że może. . .

— Tańczę kiedy i gdzie mi się podoba — brzmiała odpowiedź już w zwykłym tonie Resl Dewitz, a pan jesteś nieznośny i natrętny! Zawsze psujesz mi zabawę! — To mówiąc zsunęła się z dachu po słupie i szczeblach, zręcznie i elastycznie jak kotka i szybkim krokiem uciekła w głąb ogrodu.

Jakimś nieokreślonym instynktem wiedziony, prawie bezwiednie wyskoczyłem przez nisko położone okno i po upływie kilku chwil znalazłem się przy niej.

— Co to ma być? czego pan tu chcesz — zapytała szorstko.

— Czego? Chciałbym pomówić!

— O czem? — pytaniu temu towarzyszył z czarnych ócz wzrok ostry i wyniosły zarazem.

— Chciałbym wiedzieć. . .

— Coby pan chciał wiedzieć?

— Dlaczego pani tak się ze mną obchodzi?

— Bo pana nienawidzę.

— Mnie?

— Pana i was wszystkich, bez wyjątku.

— Tego nie rozumiem.

— I ja nie. . . Nie rozumiem wiele rzeczy — wiem tylko, że chcę być teraz sama, żeś pan tu potrzebny, jak ta ropucha, co tu po ścieżce skacze — widzi pan ją — o tam — weź ją sobie do pokoju i idźcie spać.

— Co pani mówisz!

— Mówię: idź pan sobie.

— Nie, w takiem rozdrażnieniu pani nie zostawię — odrzekłem stanowczo, chwytając ją za rękę. — — Niech pani się uspokoi.

Wyrwała mi rękę.

— Proszę mnie nie dotykać — powiedziałam już raz: idź pan sobie.

Stałem zmieszany i niezdecydowany. Sprzeczne myśli chodziły mi po głowie. Czy na przekór jej pozostać, czy też iść?? Ale tych kaprysów było już za wiele. . . Oczywista prowokacja i następnie upokorzenia. Nie mówiąc już słowa, zwróciłem się i wolnym krokiem kierowałem się ku domowi. Zaledwie postąpiłem kilka kroków i nie doszedłem jeszcze do stopni schodów, gdy. . .

— Panie Eustachy! — odezwał się nagle głos za mną — w tej chwili przyszła mi myśl — nie przejechalibyśmy się po jeziorze?

— Po jeziorze, ja z panią? — zapytałem zdziwiony tym nowym zwrotem kaprysu, — przecież ja ciągle psuję zabawę, jestem nieznośnym, — przecież miałem iść sobie...

— Eh! trudno z panem przyjść do ładu, czego ja czasem chcę lub mówię, sama niewiem, a wyście niemądrzy, coś o tem myśleć lub sądzić. Teraz wiem tylko, że spać nie mogę, że wiosna nadeszła, że kipi — kipi we wszystkich żyłach, że mi tam w domu duszno i tęskno, — że coś robić muszę, gdy spać nie mogę... Chce pan ze mną jechać czy nie?...

— Mówiłem już, że panią tak... w tem usposobieniu zostawić niepodobna, pojadę więc gdy trzeba i na jezioro.

— Więc dobrze, będę wiosłowała.

Zwyczajna łódka rybacka, z kilku desek zbita, przywiązana do słupa, kołysała się na wodzie. Wsiedliśmy.

Panna Dewitz uchwyciła wiosło i z wielką wprawą i siłą odbiła od brzegu. Jezioro leżało przed nami nieruchome jak zwierciadło; tylko łódka prując burzyła jego szybę, tylko wiosła bijące w toń, wydobywały w świetle księżycowem, skrzące się krople.

Płynąc z nią, nie zastanawiałem się wówczas, co mogło mnie powodować do ulegania kapryśnicy, do towarzyszenia jej po tylu szorstkich odprawach. Czy to była tylko rycerskość wobec kobiety?

Nie! dzisiaj widzę, iż był to pociąg płciowy, czułem męskim instynktem, że dla tej dziewczyny nadeszła chwila słabości, i że jej szorstkość i symulowana nienawiść, to tylko próba obrony przeciwko

niej, ostatni wysiłek słabnącego oporu; że była ona jak kotka, która w marcu, miaucząc wchodzi na dach i pazurami wita zbliżającego się do niej gacha.

Płynąc w milczeniu, zbliżyliśmy się do środka jeziora.

— Ach, jaka cudowna noc, — odezwała się wreszcie Resi — dzisiaj powinno się coś stać. Nie czuje tego pan?

— I mnie przenika głęboko ta noc wiosenna, ale uspokajająco — chciałbym tak płynąć godzinami — może przez życie całe... bez zmiany.

— A ja bym tego nie chciała — to nudne, — taka jednostajność — zawsze to samo, — choćby najpiękniejsze, ale to samo. Mnie trzeba burzy — aby jezioro kipiało — jak we mnie krew — aby się stało coś niezwykłego... Ale — czyż pan to zrozumie — dodała z lekceważeniem.

Nagle kładąc wiosło do łódki, zapytała:

— Coby pan zrobił, gdyby łódka się przewróciła?

— Byłoby mi to dosyć obojętne — umiem pływać.

— A ja?

— Pani nie pływa?

— Nie.

— Tobym oczywiście panią ratował.

— A ja bym pana chwyciła w objęcia i razem poszlibyśmy na dno. Jakby nas potem wyciągnięto i zaniesiono do domu, woda by z nas ciekła i o zgrozo! pobrudziłabym mamie pokoje, dopiero byłaby awantura. Ha! ha! jakie to zabawne! — zawołała śmiejąc się z wątpliwego bardzo dowcipu. A po chwili zapytała znowu:

— Nie boi się pan śmierci w moich objęciach?

— Nie.

— Myśli pan, że byłaby słodka?

— Myślę.

— No to skoczę, chciałabym zginąć — w tej chwili.

Co za myśl, pomyślałem, takiego epilogu naszej wycieczki wodnej, nie byłem spragniony. Kto wie zresztą do czego zdolną dziś jest ta dziewczyna. Ażeby więc zmienić mało mnie zajmujący przedmiot rozmowy, zapytałem:

— Czy mama wie, że pani wyszła z domu i, że wiosłuje po jeziorze?

— Mama o niczem nie wie — mama gdyby była w domu, nie pozwoliłaby skakać po dachu ani wychodzić w nocy. Mama wyjechała do Gdańska.

— A jak się dowie?

— Ma pan słuszność, lepiej wracajmy. To mówiąc chwyciła za wiosło i skierowała łódkę do brzegu.

Byliśmy znów w ogrodzie.

— Taka piękna noc — odezwała się znowu Resi, zwalniając kroku, tym razem tonem słodkim i rzewnym, — żal wracać, — najchętniej przesiedziałabym tu do rana, któż zgadnie, czy druga taka sposobność się nadarzy, — i siedziałabym może, gdyby nie pan...

To mówiąc patrzyła w górę na księżyc, który w jej czarnych oczach odbijał swoje promienie. Było coś czarodziejskiego w tym obrazie, — czarodziejskiego i demonicznego zarazem. Te oczy, które patrzały zwykle dziko lub wyniośle, miały tym razem wyraz słodki, dziecięcy prawie.

— I dlaczego ja mam być przeszkodą?

— Z mężczyzną przecież nie mogę.

— A może to tylko ze mną?...

— Może.

— A cóż ja zawiniłem?

— Pan mi przeszkadzasz — odpowiedziała znów szorstko.

— Przecież chciałem iść... zostałem zatrzymany — odparłem z wyrzutem.

— Tak, to było przedtem, ale teraz należy sobie iść — odrzekła już łagodniej.

Korzystając z tej chwili chwyciłem ją za rękę.

— Panno Terezjo, czemu pani jesteś tak dziwną, tak przykrą czasem, — przecież musisz to widzieć, — musisz to odczuć, iż nie jesteś mi obojętną. Mówiłem to serdecznie, przyciskając jej rękę do piersi.

— Nic nie czuję, ani nie widzę.

— Bo chyba nie chcesz tego widzieć, że od pierwszego ujrzenia, cała moc uczucia wzywa mnie ku tobie, że od tej chwili o tobie tylko myślę i marzę, — nie wiem sam czemu, ale czuję, iż należę do ciebie — że taki mój los, takie przeznaczenie — że i ty powinnaś odczuć siłę, która mnie porywa.

— Ja nie słucham, co pan mówi.

— Panno Resi!

— Ja nie chcę słyszeć, — wyrywając mi rękę, odrzekła znów ze zwykłym uporem.

— Resi — zawołałem znów z żywym uczuciem.

— Już mówiłam, idź pan sobie.

Stałem niezdecydowany.

— Idź, idź — powtórzyła i lekko dotykając mej piersi odepchnęła od siebie.

— Dobrze więc, pójdę, ale daj mi chociaż uścisnąć rączkę na pożegnanie, próbując jeszcze zmienić wyrok, — odezwałem się błagalnie.

— Nie...

— A więc dobranoc!

Nienasycony, z podrażnioną pożądliwością, wszedłem do domu, — tym razem drzwiami i stanąwszy w ciemnej sieni zatrzymałem się tam bezwiednym instynktem, jak zgłodzony chciwy łupu ryś na czatach. Czułem wrzącą krew w żyłach, słyszałem bicie serca.

I nastąpiło to, czego oczekiwałem.

Po chwili usłyszałem lekkie kroki wstępującej po schodach Resi, — która wsunęła się cicho do sieni — Chwyciłem ją w objęcia i szukając w ciemności gołego ciała, całowałem po twarzy, po szyi, — po obnażonych ramionach, a usta moje szepnęły namiętnie: Nie chciałaś mi dać ręki, — wezmę cię teraz całą.

Czy spodziewała się tego? — Żaden głos nie wyszedł z jej ust, — ani przestrachu, ani oburzenia; czułem, iż w tym uścisku przenika ją ta sama rozkosz, która jest przyrodzoną siłą natury, która obala wszelkie nasze przedsięwzięcia, zwalcza wszelki opór.

Nagle silnym i zręcznym ruchem wyrwała się z mego objęcia, otworzyła pobliskie drzwi i wbiegłszy do pokoju usiłowała zawrzeć podwoje. Podstawiwszy szybko stopę w progu, uprzedziłem jej zamiary.

— Odejdź pan, — szepnęła.

— Nie pójdę.

— Kiedy proszę, — błagam.

— Nie mogę.

Broniła wstępu z wytężeniem, słyszałem za drzwiami oddech szybki i ciężki.

Próbowałem przemocy. Opór był z początku silny, potem słabnął, aż ustał zupełnie.

Kiedy ostatecznie wszedłem do pokoju, księżyc zaglądający do pokoju przez okno, oświecał siedzącą na krześle Resi, z oczami zasłoniętemi ręką.

Z rezygnacją czekała tego, co miało nastąpić...

VI.

Od owej nocy minęło dni kilka, a Resi nie widziałem jeszcze. Owładnął mną jakiś niepokój i niezadowolenie z siebie, unikałem z nią spotkania, wejrzenia w jej oczy. Natura osiągnęła swoje, uspokoiła zmysłowość, a zastanowienie nad stworzoną sytuacją zaczęło przeobrażać się w niepokojące rozważania, które zamieniły się pomału w przygnębienie duchowe, a następnie stopniowo przeistoczyły się w przykre wyrzuty sumienia. Szukałem drogi, jakby wyjść z tego położenia, a nie znalazłszy jej — unikałem spotkania z Resią.

Czułem, że nie postąpiłem poprawnie, wyzyskując chwilę niewieściej słabości, czułem, że to prawo natury nastąpiło nie we wszystkiem, jako jedynie właściwe za obopólną zgodą i że stała się rzecz brzydka i występna.

Cóż należało uczynić, jakie były sposoby naprawienia złego? Prosić panią Dewitz o rękę córki, wszakżeż sakrament małżeństwa legalizuje wszelkie miłosne przestępstwa. Badałem siebie, czy mogę bezkarnie taką ofiarę z życia uczynić. Badałem i przy-

szedłem do przekonania, iż nie kochałem Resi. To co się stało, było tylko wynikiem niepohamowanego pociągu, uczuciem czysto zmysłowem. Czułem iż ofiara ta przechodziłaby wartość przestępku, iż pokuta nietylko nie starczyłaby za grzech, ale wywołałaby nową zbrodnię krzywoprzysięstwa sakramentu małżeństwa, iż nieobliczone byłyby dla mnie następstwa połączenia się z kobietą innej sfery i narodowości. Cóż powiedziałby na to mój ojciec, i cała rodzina? Ileż byłoby niebezpieczeństw w pożyciu z kobietą o silnym temperamencie, nieobliczalną w postępowaniu, prawie histeryczką.

W tem położeniu zeszło mi kilka przykrych i ciężkich dni. Aby ominąć okazję niespodziewanego spotkania się, wstawałem wcześnie, powracałem późno, wolne chwile przed rozpoczęciem godzin biurowych i po ich zakończeniu poświęcałem dalszym spacerom i wycieczkom w nieznane mi jeszcze okolice kaszubskiej szwajcarji. W niedzielę, kiedy było najłatwiejsze spotkanie, wybierałem się do Gdańska i Sopot, szukając tam nowych wrażeń i zapomnienia.

Po upływie dalszych kilku dni wrażenia pamiętnej nocy zaczęły blednąć, przychodziło pomału uspokojenie, a w miarę tego znów się zaczęły odzywać podrażnione zmysły, a odnowiona i nienasycona jeszcze żądza dopominać się o swoje prawa. Dawniejsze skrupuły w połączeniu z psychicznym stanem duszy i ciała zaczęły pomału znikać; nie widziałem w postępku moim czynu tak bardzo karygodnego, tem mniej zbrodni i mając najszczerszy zamiar ją w ten lub inny sposób naprawić, odczułem jakby odpuszczenie spełnionego grzechu.

I po długich zmaganiach rozum znów uległ w walce z namiętnością, nie myślałem o następstwach, powstałych z odnowienia grzesznego stosunku, nie czułem już różnic narodowościowych, nie myślałem co powiedzą rodzice. Myślą moją i dążeniem było zobaczyć ją za wszelką cenę — pomówić z nią i wyjednać przebaczenie; — a z każdym dniem postanowienie to stawało się silniejsze, potrzeba widzenia jej gwałtowniejszą. Jakaś dziwna tęsknota, której nie odczuwałem dotychczas nawet wobec najbliższych i drogich mi osób, wołała teraz: tylko ją widzieć, widzieć choćby raz jeszcze!

Ale panna Dewitz unikała mnie, tak jak ja jej przedtem. W tym celu, jak nietrudno było się domyśleć, wyjechała w odwiedziny do ciotki swojej w Bydgoszczy, a nawet po powrocie, nie dała sposobności do spotkania. Małe posługi domowe, które w pierwszych dniach pobytu czyniła w moim pokoju, wypełniała odtąd matka. Nie śmiałem pytać o powody, gdyż znałem je dostatecznie.

Stosunek mój do matki, pomimo tych wypadków nie uległ zmianie, zdawała się nie domyślać niczego — przeciwnie — pedanterja kobiety, dbającej tylko o porządek domowy, prze braziła się powoli w familijną życzliwość i poufałość. Nie było już nagany za plamy na podłodze, a nawet na obrusie; rozmawiała ze mną chętnie i często, z rzeczy obojętnych przechodziła na stosunki osobiste i rodzinne. Przedewszystkiem mówiła o swoich, podnosząc swe dobre pochodzenie — była córką dozorcy więziennego w Gniewie — i wymieniała przytem co znamienitszych krew-

nych, jeden był nawet pastorem; w dalszej dyskusji pragnęła się dowiedzieć o mojej rodzinie, stawiając dość dyskretne pytania. Wspomniała też o pierwszem zajściu, jakie miałem z jej córką przy polewaniu kwiatów, nazywając to: „panieńskim kaprysem, którego nie należy brać poważnie". Z macierzyńską troskliwością nadmieniła o jej niebezpiecznym sporcie wiosłowania w łódce rybackiej, z czego wnioskowałem, że nasza nocna wycieczka na jeziorze nie pozostała tajemnicą.

Potwierdziła też to niedwuznacznie, mówiąc: „Ona się jeszcze kiedy utopi. Wdzięczną panu jestem i nie widzę w tem zbrodni, że pan czasem towarzyszy Resi na jeziorze. Ludzie wprawdzie już mówią o tem, ale ja nie widzę w tem nic złego, jeżeli panna obcuje z kawalerem przyzwoitym, honorowym i odpowiedzialnym". — „Córka moja" — dodała ze stanowczością i macierzyńską dumą — „wie też jak daleko się posunąć".

Niezupełnie pojmując moją „odpowiedzialność" na wszystkie te dość przeźroczyste wywody, odbąknąłem ni to ni owo. — Zrozumiałem jednak, co nie było trudnem, że był to rekonesans podjazdowy, strategja matki, mającej córkę na wydaniu.

Nie skorzystałem wszakże z tej pomyślnej chwili, odkładając decyzję i szukałem sposobności widzenia się i ostatecznego rozmówienia się z Resią.

Nareszcie nadeszła upragniona chwila.

Wieczorem, wróciwszy z biura, ujrzałem ją siedzącą w altanie z robótką w ręku. Pomimo tego, że musiała słyszeć skrzyp otwierającego się okna i moje kroki w pokoju, nie podniosła oczu, nie przerwała roboty.

Tylko biała sukienka spięta w pasie niebieską wstęgą i regularny jej profil rysowały się na zielonym tle winogradu. Ręka, chociaż niewypielęgnowana, ale drobna, władała igłą zręcznie i szybko.

W tym prostym stroju była tak piękną i ujmującą w ruchach, że nie mogłem oderwać oka od tego obrazu. Zdecydowany na wszystko wybiegłem do ogrodu i za chwilę znalazłem się przy niej.

— Dobry wieczór — rzekłem z miną swobodną, dodając sobie odwagi, chociaż odczuwałem brak tchu w piersi a serce biło mi gwałtownie.

Czarna główka dziewczęcia nie oderwała się od roboty . . . , udawała, że mnie nie widzi, nie słyszy powitania.

— Dobry wieczór powtórzyłem, panno Tereso, czy się pani gniewa?

— Jak można się pytać — odezwała się nareszcie, podnosząc głowę, a wzrok jej przybrał surowy wyraz, — pan jesteś zły i niegodziwy człowiek.

— Tak jest — odrzekłem z pokorą — ale ja to chcę naprawić. Ja panią kocham. . .

— Pan mnie kochasz?

— Tak, Resi, ja ciebie kocham — przychodzę przecież prosić o przebaczenie — chcę naprawić. . . .

— Jak pan to chcesz naprawić, co się stało — przerwała mi z gwałtownością.

— Ja ciebie kocham, mówiłem ci to wtenczas, mówię to i dziś, powtórzę jeszcze raz matce twojej i poproszę o rękę córki.

— A czy pan myśli, że ja poszłabym za pana? — odparła wyniośle.

— To przecież byłoby najprostsze, to podnosi znów kobietę, to umarza jej winę.

— Moją winę?. . .

— Wina jest przeważnie obopólną.

— Ha! ha! wybornie.

— Nie sprzeczajmy się Resi — ja przyszedłem z dobrą wolą, przyszedłem ciebie zrehabilitować.

— Zrehabilitować? cóż to znaczy?

— To znaczy — małżeństwem zmazać plamę, która w takich razach spoczywa na kobiecie.

— Moja plama się zmaże — ale nie pana.

— I moja wina przy tem się zmaże.

— W moich oczach nigdy. . .

— Panno Resi, ja proszę cię o tę rączkę — odezwałem się serdecznie — oddaj mi ją nietylko na tę chwilę, ale na zawsze. Moja wina powstała z miłości i miłość ją znowu naprawi. Mówiłem to głęboko wzruszony, mówiłem dalej coraz to żywiej. coraz to z większem uczuciem; opowiedziałem jej mój żal; mój wstyd, moją ciężką walkę wewnętrzną, jak poznanie winy i potrzeba przebłagania nie dała mi spokoju i z upragnieniem oczekiwałem chwili, aby jej to wyznać, z pokorą błagać przebaczenia i chwytając ją za rękę, zakończyłem jeszcze raz gorącą prośbą: Resi, daj mi ją na całe życie. . .

Czułem drzenie jakby walki wewnętrznej i chwilę wahania, poczem ręka wysunęła się z mojej i cierpkie: nie! — dało się słyszeć.

— Nie! — powtórzyła i oczy zwróciły się znów ku robocie i zaczęła szyć pospiesznie.

— Czy to ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— No, to nie! — powiedziałem jej i sobie i odszedłem z ulgą w sercu, wszak zrobiłem, co nakazywała w takich razach powinność, wreszcie sumienie i honor.

Cała ta jednak scena i upór tej dziewczyny był dla mnie dziwny, niewytłumaczony, z wielu względów, zagadkowy. Przecież dla bezposażnej córki wdowy po nauczycielu, nie bez troski codziennej, wynajmującej pokoje — chociaż początkujący, lecz z wyższą karjerą urzędnik — byłem partją nietylko odpowiednią, ale i niespodziewaną nawet.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że uzyskałbym aprobatę matki, o czem sama dała mi do zrozumienia. O cóż więc chodziło córce? Czy przewinienie było rzeczywiście tak wielkie, grzech tak śmiertelny, aby nie było zań przebaczenia? Czy wina była tylko po jednej stronie, czyż nie było tam kokieterji i prowokacji nawet, a obrona czci niewieściej dostateczną i rzeczywiście wyczerpującą wszelkie środki? — Lub gdy nie w tem leżała przyczyna, czyż byłem jej wstrętny?

Przebieg i szczegóły tej nocnej sceny zdawały się przekonywać inaczej. I pytałem znowu: był to pierwszy wypadek w jej życiu, czy też przeżyła ich już więcej? W takim razie była to dość niemądra komedja, ale jakiż jej cel i powód? . . .

Te i tym podobne wątpliwości nie wychodziły mi z głowy, a nie znajdując odpowiedzi i wytłumaczenia, powiedziałem sobie po raz drugi:

Nie, to nie!

Ale to „nie", jak się wkrótce przekonałem, było tylko w słowach — od potwierdzenia było dalekie.

Na razie jednak uczułem ulgę, odetchnąłem pełną piersią, jak człowiek, który uszedł wielkiego niebezpieczeństwa — któremu zdjęto stryczek, gdy już — już miał zawisnąć na gałęzi.

I z lekkiem sercem, o ile czas służby pozwalał, zacząłem znów robić wycieczki w bliższe i dalsze okoliczne lasy, któremi Kartuzy są otoczone. Rozkoszą było też spacerować drogami, obsadzonemi drzewami obcokrajowemi, które w połączeniu z rodzimemi jak buk, dąb, świerk i sosna wraz z jeziorami i wzgórzami, nadawały spacerom takim niezwykły urok.

Zachwycałem się też zwierzostanem, który w tym czasie w lasach kartuskich należał do najprzedniejszych na Pomorzu. Jelenie spotykało się tylko przechodnie, zato głuszce — w przeważnej części rewirów, a we wszystkich — wielkie chmary sarn, wśród których niejednego „kapitalnego" zauważyć było można.

Zamiłowanie do myślistwa, oddziedziczone tradycją przodków i leżące we krwi, odezwało się znów pełną siłą. Na widok kozła odwracałem się, ściskając strzelbę konwulsyjnie, aby nie dać porwać się pokusie. Wszak ten był dla „Regierungsratów", a nie dla takich jak ja pospolitaków.

Odwiedzałem też przy tych spacerach kolegów, interesując się ich czynnościami przy kulturach, przyczem nie zapomniałem również i o Jahnkiem, którego od owej pamiętnej nocy nie widziałem jeszcze.

Instynktownie nie spieszyłem się z powtórną wizytą, przyznając teraz w duszy słuszność jego uzasadnionym przestrogom i obawiając się jego badawczego wzroku, złośliwych drwin i żartów.

Spotkałem go idącego z lasu ze strzelbą, przewieszoną przez ramię w towarzystwie nieodstępnego Tella.

— Ho! ho! kolego! — wołał już na mnie z daleka, wyjmując fajeczkę z zębów. Cóż porabiasz? — nie pokazujesz się ludziom, przynajmniej takim, jak ja siwobrodym.

— Dziękuję — było dużo zajęcia — rzekłem trochę niepewnie — w niedzielę byłem też w Gdańsku...

— No proszę, a mnie mówiono, że ryby łowisz w jeziorze.

— Co znowu — odparłem z niechęcią — plotki jakieś...

— Co się pan dziwisz, jak baba kupi nowy kapelusz, to o tem mówią w Kartuzach cały tydzień, a cóż dopiero, jak piękny pan sekretarz zwróci wzrok swój na upatrzoną rybkę — wszystkie sikorki miejskie zazdroszczą, żeś nie na nie sieci zastawił a stare gapy też, że nie na nie. Szczęśliwy młodzieńcze i co złapałeś, flądrę, płotkę, czy też jeszcze... coś gorszego?.. I znów we właściwy sobie sposób zaczął mrugać oczyma.

Czułem, jak mi krew uderzyła do głowy.

— Ależ panie Hegemeistrze...

— Nie gniewaj się — odezwał się znów dobrodusznie, klepiąc mnie po ramieniu — ja nie zazdroszczę.

— Tu nie było czego zazdrościć. Tu nie było nic złego — zaręczam... odezwałem się już śmielej i ze stanowczością — nie przypuszczałem, że mogą z przejażdżki po jeziorze nastąpić tak brzydkie gadaniny. Czy to nie można poflirtować z panną?

— A cóż to poflirtować?

— To pan nie słyszał o flircie?

— Coś, gdzieś — pewno — ale już nie pamiętam.

— Flirt, odezwałem się z wielkim pośpiechem — zadowolony, iż rozmowa na przyjemniejszy zwróciła się przedmiot — znaczy po angielsku „igraszka", a właściwie chwilowy kaprys — zajęcie przelotne drugą osobą — ot tak dla spędzenia czasu. (Mądrość tę wyczytałem gdzieś, w jakiejś encyklopedji).

— Aha, dla spędzenia czasu — mruknął Jahnke.

— Flirt — wykładałem dalej — to trochę więcej niż zabawa, a trochę mniej jak miłość. Może się więc skończyć miłością i może pozostać bez żadnego wyniku.

— Aha, bez żadnego wyniku — mruknął.

— Tam gdzie flirt skończy się niczem, tam obie strony mówią sobie: do widzenia! — i zaczynają czem prędzej flirtować z innemi.

— Rozumiem, rozumiem — po mojemu tę angielszczyznę takbym przetłumaczył: flirt to polowanie na upatrzoną zwierzynę, można go spróbować na dziennem podchodnem, można i na nocnem stanowisku. Rezultat jest rozmaity, czasem się kończy na rozkładzie, czasem na szkaradnem pudle. Jeżeliś kolego przy tem flirtowaniu spudłował, radzi ci stary doświadczony łowiec powiedzieć także: do widzenia! — a drugi raz nie strzelaj — bo sztuka nie warta prochu.

To mówiąc, gwizdnął na Tella, który dla skrócenia czasu grzebał tymczasem poszukując myszy.

— A teraz i ja powiem: do widzenia! — nie proszę pana dzisiaj do siebie, bo muszę jeszcze do nadleśnictwa. Rumbaum spodziewa się znów zwykłych anonsowanych gości, tym razem nie koronowanych,

ale berlińskich bankierów, ci lepiej płacą — mamy mu zdać raport o kozłach ze wszystkich rewirów. Przy tej sposopności przypomnę mu o tych dwóch, co mi się należą jeszcze za arcyksiążęcego głuszca.

To mówiąc ruszył żwawym krokiem w kierunku nadleśnictwa.

Z niesmakiem rozstałem się tym razem z Hegemeistrem; gniewało mię to bezustanne mieszanie się do moich spraw osobistych, to niepowołane mentorstwo. Wprawdzie pokrywał nieproszone rady dobroduszną życzliwością, ale któż go o nie prosił?

Albo te niestosowne odezwanie się o pannie Dewitz, skąd on do tego przychodzi? — przecież nic złego w tym domu nie zauważyłem, nic uwłaczającego nie słyszałem ani o niej, ani o matce.

Postanowiłem sobie raz tę rzecz zakończyć i zapytać Jahnkego o powód jego dziwnych i niezrozumiałych uwag i żądać wyjaśnienia.

Zwróciłem teraz moje myśli do dworku pań Derdowskich, gdzie dość często bywając, zawsze uprzejmie byłem przyjmowany. Gdybym siebie badał, nie wiedziałbym właściwie, w jakim celu lub zamiarze tam chodzę. Panna Mania zajęła mnie wprawdzie swą sielską prostotą i pociągnęłaby jeszcze daleko więcej, gdyby nie tamta, do której przez chwilę słabości należało moje ciało, a dusza z pęt tych oswobodzić się nie mogła.

Czyżby przez krew wyssaną mi z rany przez dziwną istotę, powstał nowy mistyczny związek.

Mimo niespodziewanej i cierpkiej rekuzy, mimo powiedzenia sobie: nie, to nie! — czułem, iż to uczucie

do Resi siedzi głębiej, że wpuściło korzenie, które trudno będzie wyrwać mimo wszelkich, szukanych i użytych narzędzi i sposobów w tym celu.

Zajęcie się panną Derdowską było, jak to spostrzegłem wkrótce, jednym z tych środków bezwiednych, jednym z tych lekarstw, których natura sama szuka dla wyzbycia się choroby — dla mnie — specjalnym celem do wyrugowania tamtej, rodzajem próby wybicia klina klinem. Gdy ani dalekie wędrówki w lasach kartuskich, ani wycieczki w każdą prawie niedzielę, do Gdańska i Sopot, z wesołem, kipiącem tam życiem kąpielowem i sportowem nie dało mi uspokojenia, zacząłem szukać nowych wrażeń dla zatarcia dawniejszych — choćby to prowadziło do nowej miłości, do nowej udręki; przecież gorszą niż ta, już żadna być nie mogła...

Ach! tak, nowa miłość, gdyby ją znaleźć w tej chwili! Nie może to być przecież tak trudno; — młode serce pragnie miłości, może kochać i kwitnąć po kilka razy, jak kwiat pelargonji, który złamany i w świeżą ziemię wsadzony, w nową kwitnącą rozwija się roślinę. Skoro jedną kochałem, czy nie mógłbym już innej kochać?! A zresztą...

Czy to była rzeczywiście miłość, czy tak się miłość poczyna? Tak gwałtownie, zmysłowo zapamiętale — to chyba chwilowy szał i obłęd; — skąd ja to nabyłem, dlaczego się pozbyć nie mogę? Eh! głupstwo rozumowałem znowu, przywołując rozsądek na pomoc, kobiet jest tyle na świecie tak pięknych — o wiele piękniejszych od Resi. Czy to Mańka nie piękniejsza od niej i jest Polką, nasz ród i nasza krew — i ileż

gracji i powabu w jej ruchach — a jaka skromna i dobra być musi — z oczów to widać...

Poszedłem znowu do Derdowskich i wmawiając sobie wdzięki córki, byłem przekonany, iż ładniejszej, lepszej niema na świecie, że jeżeli już która, to ta powinna być moją wybraną, tą tylko powinienem kochać.

Zdawało się też, iż niezupełnie jestem jej obojętny; z ożywienia w rozmowie odczułem, iż interesują ją obopólne wymiany myśli, iż chętnie mnie widzi i słucha. Tylko w tem spojrzeniu nie było nigdy odbłysku radości, jakim kochająca osoba wita ukochanego, ale badawczy wzrok siostry miłosierdzia, jakby badający ze współczuciem stan zdrowia pacjenta. Czyżby się domyślała stanu mojej duszy, czyżby wiedziała o tym kolcu, co tkwi w sercu tak głęboko, że go wyrwać tak trudno.

Więc wmawiałem w siebie, że tu lekarstwo na moje cierpienie i, że tu umrze stara, a odżyje nowa miłość.

I przekonanie to trwało dzień cały — trwało cały czas w obecności Mańki, aż do wieczora. Gdym już wracał i im bliżej byłem domu, wmawiane sobie uczucia dla niej bladły, głosy rozsądku ulatniały się, a przede mną stawała czarnobrewa rusałka z bosą nóżką, z polewanką w ręku — z błyszczącemi ząbkami w wiśniowych wargach, które w nienawiści krew wyssać potrafiły, lecz również i gryźć — w szale miłości. Kładąc się do łóżka myśl moja przebijała te dwie ściany, za któremi spoczywała ona w białej pościeli z czarną główką i różowem ciałem... I zrywałem się z łóżka, jak złym duchem nawiedzony, jak opętany — otwie-

rałem okno i wyskakując przez nie, jak owej pamiętnej nocy biegałem po wszystkich ścieżkach, po wszystkich zakątkach ogrodu, szukając, czy jej tam nie ma.

I stało się coś niezwykłego...

Po jednej z tak męczących i bezsennych nocy — rano — krótko przed przyjściem do biura weszła do mego pokoju Resi. W rękach niosła, z niemiecką pedanterją przybraną tacę ze zwykłem mojem śniadaniem. Posługę tę, jak już wspomniałem, od dłuższego czasu wykonywała matka — pierwszy raz uczyniła to znowu córka.

Pod wpływem tych przejść ukazanie się tej, która była przyczyną wielotygodniowych mąk i udręczeń, było niesłychane.

W pierwszej chwili napływ wrażeń i uczuć ogarnął mnie, jak uderzenie nagłej fali morskiej, zabrakło mi tchu — nie mogąc wyrzec słowa, stałem jak odurzony. Przede mną znajdowała się ta, którą, jak to czułem w tej chwili, kochałem do szaleństwa — stała znów w całej piękności spuszczonemi z oczami, nie ta Resi dzika i szorstka — ale ta cicha i pokorna, czekając widocznie na jakieś słowa pojednania.

— Resi — zawołałem wreszcie — ukochana moja Resi, przyszła do mnie... Chwyciłem ją w objęcia i przy wylewie namiętnych, bez pamięci wyrzeczonych słów miłości i uwielbienia, nieprzytomny prawie — całowałem włosy, czoło i usta.

— Panie Eustachy — rzekła z lekka odsuwając mnie od siebie — przyszłam bo mama tak kazała — mama nie wie, co pomiędzy nami zaszło.

— Więc tylko na rozkaz matki przyszłaś?

— Tak, na jej rozkaz.

— Więc zawsze jestem znienawidzonym?

— Chciałabym zapomnieć, ale to niełatwo — dodała po chwili podnosząc oczy, z których już spoglądało przebaczenie.

— Moja droga Resi — łamiąc resztę oporu rzekłem znów czule — przecież i Chrystus przebaczył grzesznicy — ja zawiniłem, wiem i za to pokutuję. Ach! gdybyś wiedziała jak ciężka ta pokuta! I chwyciłem za podane mi już dobrowolnie ręce.

— A pan myślałeś, że dla mnie to nic?

— Ja cię rozumiem i mam litość, ale ty jej nie masz, Resi moja słodka, mój skarbie najdroższy! — i przyciskając z namiętnością do siebie, okrywałem ją coraz to nowemi pieszczotami, coraz to gorętszemi pocałunkami. Czułem też ich wpływ, czułem pod mojemi rękami, ciepło drugiego ciała, bicie drugiego serca, czułem oddech gorący z ust, z których piłem słodycz największą, jaką kwiat miłości ze siebie wydać może. Czułem to wszystko u siebie, ale czułem też i echo tych uczuć, słyszałem z ust tak mi drogich, harmonję duetu tej niezrównanej pieśni miłości.

Była to scena niema, a jednak tak wymowna dla serc kochających. Scena pełna rozkoszy, którą tylko młodość zrozumieć i odczuć może.

Po tym czyśćcu katuszy, taki raj! Po słowach wzgardy i nienawiści, tyle uczucia i szczęścia!...

Cud to był — czy co?

— A wie pan — odrywając się powtórnie z objęć moich, zarumieniona, z kokieteryjnym wzrokiem odezwała się nagle — że w przyszłym tygodniu moje uro-

dziny i skończę lat dwadzieścia — stara jestem bardzo, nie prawda?

— Ogromna starość! . . .

— Stara jestem, a niemądra — wiem, wiem . . . przedewszystkiem, że panu tak łatwo to poszło i wtenczas i dziś — właściwie powinieneś był jeszcze za pokutę długo spacerować o księżycu, oh! ja wiedziałam, kogo pan tam szuka po ogrodzie i z okna cieszyłam się i śmiałam, i żal mi było też trochę, no i . . . nie wiedzieć czemu przyszłam znowu.

— Moja droga Resi. . .

— Czemu wtenczas pana nie zabiłam, nie wiem i dziś nie rozumiem, co mnie do tego pokoju sprowadziło.

— Mówiłaś, że matka. . .

— Tak mówiłam — ale nie matka — matki nie słuchałabym — ona i tak mnie nie rozumie — ot, coś mi szeptało: za tydzień twoje urodziny, w altance je zawsze obchodzimy — to tak ładnie. . . Stół białym obrusem okryty, kwiatami przybrany; czekolada, ciastka, bita śmietana z truskawkami; a przytem jeszcze ktoś przy boku, co ci patrzy słodko w oczy, co ci mówi, że cię kocha, a nikt o tem nie wie — to jeszcze tajemnica — ale nóżką można się trącić pod stołem . . . to tak ładnie — tak sobie myślałam — i teraz miałoby być inaczej. . .

VII.

Odurzony niezwykłemi przejściami, na pół pijany słodkiem uczuciem zakosztowanem do woli, nie rozumiałem, com słyszał, nie rozważałem wynurzeń niespodzianych i dziwnych, straciłem wolę, zapomniałem zamiarów tak stanowczych i o Mańce nawet, która mi się teraz, po świeżo odebranych ognistych całusach wydawała się jakąś sztywną, nienaturalną istotą — bryłą lodu, zimną — bez uczuć i życia.

I tak po tem pierwszem spotkaniu się z Resi, gorzkie cierpienia poszły w zapomnienie, rozbiły się zamiary rozsądku i nie spostrzegłem się, jak znalazłem się znów w pętach namiętności... Czułem się tylko ogromnie szczęśliwy

Na skrzydłach tej szczęśliwości biegłem nazajutrz dalszą, okrężną ścieżką nad jeziorem, do biura, aby odetchnąć z tych wrażeń, uspokoić zmysły i nerwy. W tem wszystkiem trudno było się połapać, tyle przejść w krótkim czasie, w tak biegunowych odczu-

ciach od szczęśliwości do pognębienia i znów niespodziewanej przemiany losu w uczucie radości. Szedłem myślamy zajęty, gdy nagle rozpięte sieci zatamowały mi drogę.

Nad brzegiem jeziora na piasku pracował rybak zajęty suszeniem obieży rybackiej. Ubrany był w niebieskie płótno, ulubiony kolor kaszubski. Świeżo z wody wyciągnięte przyrządy rybołowne zawieszał na słupkach. W wyciągniętej na brzeg łódce pluskały się ryby.

— Guten Tag — odezwałem się jak zawsze z przezorności najpierw po niemiecku.

Spojrzał na mnie badawczo i wyjąwszy z ust krótką fajeczkę splunął, poczem bąknął przez zęby z kaszubska:

— Dobry dzień.

— Polak jesteście — rzekłem pospiesznie, życzliwie się uśmiechając.

— Rybak polski, kaszubsci.

— Po niemiecku nie umiecie?

— Umeć to ume, ale gadać, to gadam gdzie trza — tu nie urząd — dodał z niechęcią.

— Ale przecież w Niemczech, należy mówić po niemiecku, rzekłem, z ciekawością wyczekując odpowiedzi na prowokującą uwagę.

— Tu ne Memce pane tu Kaszubści.

— Jakżeż? — Tu kraj pruski.

— Ne pruski — tylko polsci — zawołał podniesionym głosem, i oczy mu się zaiskrzyły — żeby kraj beł prusci toby i Memec był u nas poseł, a u nas jest Jąta Połczynsci poseł, polsci pan*).

*) W tych czasach z okręgu Kartuzy-Wejherowo był przez długie lata Roman Janta-Połczyński posłem do Parlamentu Niemieckiego z Kaszub.

...— Tu ne kraj pruski, tylko polsci, żeby kraj był prusci toby i Memec był u nas poseł, a u nas jest Jąta Połczynsci poseł, polsci pan.

Uśmiechnąłem się, nie zdradzając zadowolenia, w jakie mnie krewka ta odpowiedź wprowadziła. Pragnąc zmienić przedmiot rozmowy, zapytałem obojętnie.

— Cóż tu robicie?

— A cóż mam robić? rozwieszam sece na szteki i knepele co obeschną — burknął niechętnie i odwrócił się znów do swej pracy.

— Dużo ryb schwytaliście? pytałem znowu.

— Rebe ochebe, pane, ne dużo — same szczuki (szczupaki).

— Gdzie sprzedajecie wasz połów?

— Tu lub w Fischmarku w Gdańsku, białka (żona) zawiozi. Przypatrywał mi się badawczo a po chwili:

— Pan z Kartuz — tutejszy?

— Od niedawna jestem w urzędzie, w nadleśnictwie.

— Aha, słyszoł o tem, leśny. I Polak?

— Tak, rzekłem z wahaniem, jestem Polakiem.

— Paniszek na podrugi (komornem) wu wdowa Dewic. . .

— Tak u pani Dewitz mieszkam, potwierdziłem.

— Pozdaj. . . Mtesa posedo córke . . . one se nazewo Resede. —

— Zdaje się, że tak jej imię.

— To zasmierdziale memke i córke też ne perfume — rzekł i splunąwszy wcisnął znów fajeczkę pomiędzy zęby, odwrócił się i jakby mnie nie było zaczął dalej sieci rozwieszać.

To mnie rozwściekliło . . . . i ten także? Co oni ode mnie chcą, uwzięli się czy co? Paskudna dziura!!...

Po tem wszystkiem, jak nietrudno przewidzieć, w biurze dnia tego praca nie była mi w myśli; myliłem

się w rachunkach, nie byłem zdolny napisać rozsądnego zdania, robiłem plamy atramentem w aktach. Szczęściem w nadleśnictwie nie było komu zauważyć roztargnienia, było tam dostatecznie innego zajęcia. Pan forstmeister z małżonką przyjmował przybyłych z Berlina bankierów; jeżeli nie polowali, to jedli i pili, lub grali skata. I syn, znany mi z pierwszego dnia pobytu w Kartuzach, student Hans od kilkunastu dni bawił znów w domu rodzicielskim.

Jak wiadomo, nasze pierwsze zetknięcie się nie było zbyt koleżeńskie, a od tego czasu nie daną mi była sposobność wyrobienia wzajemnej sympatji. Na zwykłem: morgen, morgen! rozpoczynała i kończyła się konwersacja i wymiana myśli. Mówiono mi, że jest po egzaminie i doktoracie, i przed rozpoczęciem urzędu używa jeszcze wywczasu. —

Mało mnie to coprawda obchodziło, zauważyłem tylko, że burszowskiego, czarnego plastra nie miał na twarzy. Wyszłoby mu to na dobre, gdyby nie odkryte, od cięć rapiru, pozostałe teraz czerwone blizny, które nadawały twarzy obraz świeżo nakrajanej szynki.

Zresztą sposobności spotkania się było niewiele — unikał mnie widocznie, jak i ja jego. W mieście widzieliśmy się rzadko, czasem znaleźliśmy się w jednej restauracji, ale i tam każdy pozostawał przy swoim stoliku.

Dnia tego jednak spotkało mnie znów to wątpliwe szczęście — zawiązania z nim dłuższej rozmowy. —

Jak to już na początku opowiadania tego wspomniałem, w korytarzu przy drugiem wejściu znajdowało się wieszadło, na którem domownicy, i zwykle urzędnicy

umieszczali swoje wierzchnie ubrania. Wychodząc z biura cokolwiek wcześniej niż zwykle, spotkałem tam Hansa z kapeluszem moim w ręku; jak mi się zdawało z zajęciem przyglądał się podszewce. —

Było to coś niezwykłego: Hans Rumbaum corps-student od Allemanów czy Borussów z moim kapeluszem w ręku! Schwycony na gorącym uczynku zmieszał się też widocznie, przyczem blizny na policzku zabarwiły się na fioletowo.

— Pardon! — rzekł jąkając się — pro... proszę wybaczyć, po... pozwoliłem sobie kapelusz obejrzeć — kolega wygląda w nim do pozazdroszczenia .... famos! ... kolosal! ... chciałem się zawsze zapytać, gdzie go nabyłeś, no ... i widząc, że tu wisi — pozwoliłem sobie obejrzeć. Pewnie nie z Kartuz? ...

— Nie, w Berlinie kupiony.

— Zaraz pomyślałem, i gdzie, jeżeli wolno zapytać? ...

— Ach, w jakimś składzie, nie pamiętam nawet, zdaje się u Eckardta. ..

— Tak jest, tak jest — dodał pospiesznie, zaglądając jeszcze raz do podszewki, dziękuję pięknie ... i powiedziawszy jeszcze kilkakrotnie: pardon! — znikł w najbliższych drzwiach.

Scena ta zastanowiła mnie cokolwiek; dlaczego właściwie interesować go mógł kapelusz leśnika, zwykły filcowy myśliwski kapelusz, jak tyle innych. Prócz piór z koguta cietrzewia, nie było przy nim nic osobliwego.

Ale w tej chwili inne myśli cisnęły się mi do głowy, zastępując mniej ważne. Wszakżeż stałem przed stanowczym krokiem mego życia; dzisiejszy poranek,

niespodziewane pojednanie z panną Dewitz, musiało mieć swoje następstwa, które należało teraz ponosić. Trochę lękałem się tych następstw, przedewszystkiem bałem się rodziców. . . Znałem ich zapatrywania, zasady, wiedziałem, iż na związek z Niemką nigdy się nie zgodzą i tym więcej musiałem się z tem liczyć, iż byłem od nich zależny, nietylko moralnie, ale co ważniejsze w tym wypadku i materjalnie. Ojciec mnie utrzymywał na uniwersytecie i teraz nieraz wspomagał. Stanowisko, jakie zajmowałem dotąd niestałe, nie dające też wystarczających środków utrzymania rodziny, wymagało tem więcej liczenia się z ojcem, a nie postępowania wbrew jego woli.

Ale wrażenia były jeszcze za świeże, odczucie namiętnych pocałunków za wielkie, wpływ ich za dominujący, aby rozsądkowi pozostawić pole i polskie: „jakoś to będzie" rozproszyło wątpliwości.

Zajęty takiemi myślami, co było rozstrząsaniem i własnego sumienia, wracałem po ukończonych godzinach biurowych zwykłą drogą do miasta. Pod wrażeniem tych myśli oczy patrzały przed siebie błędnie, nie widząc nic przed sobą, jak to się zwykle zdarza człowiekowi, przechodzącemu ciężkie wstrząśnienia wewnętrzne; nie spostrzegłem więc też przed sobą idącej osoby. Ani lekka, skromna różowa sukienka, ani włosy z wiejska przewiązane chusteczką nie uwydatniały się tak, aby to mogło zwrócić czyjąś uwagę. W ręku trzymała koszyk, napełniony pod pałąk pięknymi grzybami.

Szybkim krokiem mijałem właśnie ową postać niewieścią, gdy w zwróconej ku mnie, letnim ciepłem

zaróżowionej twarzy, poznałem w tem niezwykłem przebraniu pannę Derdowską. Jeszcze nie zdążyłem uchylić kapelusza na powitanie, gdy już odezwał się znany, jak zwykle wdzięczny i śpiewny głos:

— Ach, to pan! Jak to dobrze, że pana spotykam.

— Czy się co stało? zapytałem zdziwiony, niezwyczajny u panny Mańki tak popędliwych wynurzeń.

— Nic takiego — nie! nie! nic nie zaszło. . . — Tutaj twarz zarumienioną całkowicie już okrył szkarłatny rumieniec. Spostrzegłszy tak widoczne zaambarasowanie, spytałem życzliwie:

— Pani jednak chciałaś mi coś powiedzieć.

— Tak rzeczywiście. . .

— I to coś ważnego, skoro taki odgłos wywołało moje spotkanie.

— To jest . . . może to i co ważnego . . . dla pana przynajmniej, dodała pospiesznie.

— Słucham z ciekawością.

Milczała chwilę, jakby szukała słów na dalsze wynurzenia. Wreszcie spuszczając głowę wyrzekła cicho:

— Bo ja się boję, ażebyś się pan nie śmiał.

— Skąd takie przypuszczenie!

— Bo to o sen chodzi.

— O sen?

— Głupstwo... prawda? tak i mama mówiła, i gdybym pana nie spotkała niespodziewanie, nie przyszłoby mi na myśl coś o tem wspomnieć.

— I co się pani śniło?

— Ach rzeczy okropne!

— I kiedy był ten sen?

— Dzisiejszej nocy.

— Przypuszczając, że moja osoba w tem zjawisku odgrywa jakąś rolę, słucham z ciekawością.

— Tak jest pan — pan głównie — rzekła poważnie, a nie był to sen tylko — objawienie chyba, gdyż tylko w ten sposób da się wytłumaczyć, co widziałam jakoby w żywym obrazie — ciągnęła dalej opowiadanie z żywem przejęciem panna Derdowska — szłam ulicą ku rynkowi, gdy spostrzegłam, iż coś niezwykłego dzieje się w mieście, jakieś krzyki i nawoływania, ludzie przestraszeni, drzwi zamykano z łoskotem, okna w domach otwierano, skąd wychylały się ciekawe głowy... W tem — z bocznej ulicy wybiega jakieś stworzenie, przed którem ludzie z przerażeniem uciekają wołając: wściekły, wściekły! Widzę dopiero teraz, że to pies duży czarny, biegnie z wywieszonym ozorem, biała piana wycieka mu z pyska, bieży rzeczywiście jak szalony do domu... (tu Mańka zawahała się) pani Dewitz... po schodkach ku drzwiom... Drzwi te raptem się otwierają i widzę...

Chcąc koniec położyć przykrej przerwie, powstałej nagle w opowiadaniu zapytałem:

— I co pani widziała?

— Tam zobaczyłam pana... Tu oczy panny Mańki powiększyły się z wyrazem przerażenia i grozy. Pan stał u progu i zasłaniając kogoś bronił przystępu rozjuszonemu zwierzęciu, widziałam, jak panu skoczył na piersi... jak chwycił za gardło białemi kłami — pana chwycił... ten zwierz straszny... Widząc tę scenę, krzyknęłam tak mocno, iż przebudziłam się własnym odgłosem... Aż matka wystraszona przybiegła z drugiego pokoju...

Panna Derdowska skończyła opowiadanie.

Szliśmy w przykrem milczeniu. Odczuła to widocznie, bo odezwała się znowu:

— Daruj pan... to było dzieciństwo — wiem o tem... Głupcy tylko sny swoje opowiadają, mówiła matka. Nigdy nie odważyłabym się na powtórzenie tak okropnego zjawiska — ale to nagłe spotkanie tak mnie przejęło... Widziałam w tem dla siebie wskazówkę — jakieś przeznaczenie — może do spełnienia posłannictwa wyższej woli — czy ja wiem co?... i nie mogłam się powstrzymać... Pan mi to za złe nie weźmie... Pan mi daruje — prawda?

Nie widziałem jeszcze panny Derdowskiej mówiącej z takiem przejęciem. Co się stało? Co tę duszę zwykle cichą i spokojną tak nagle ożywiło? Gdy szedłem nic nie mówiąc, zawołała żywo:

— Ach, jak mi żal! zrobiłam przykrość...

— Nie, nie! zaprzeczyłem spiesznie. Sny to dzieciństwo — wiem. Niech pani będzie spokojną... Nic sobie z tego nie robię...

Ach! Jakiż byłem nie czuły i ślepy na to co biło w oczy od tego słodkiego dziewczęcia, pod postacią życzliwości i sympatji, gorącą łuną uczucia zbudzonej miłości.

Lekceważąc przedmiot rozmowy, a patrząc na pełny koszyk grzybów, który niosła w ręku, przeszedłem na temat grzybobrania i obfitości grzybów w lasach kartuskich. Pytałem, czy często zbiera i t. p., banalnemi pytaniami starałem się okazać małe zainteresowanie tem, co ją tak mocno przejęło.

Mimo zaprzeczenia i symulowanej obojętności, byłem jednak żywym obrazem powtórzonego mi snu

mocno wzburzony. To też nie wiem zupełnie jak i gdzie pożegnałem się z panną Derdowską. Powtarzające się oznaki ostrzegawcze nie zostałyby może bez wrażenia i wpływu, gdyby tu w grę nie wchodziła namiętność do dziewczyny, gdybym nie był obezwładniony w jej pętach miłosnym obłędem. Rozważałem wprawdzie dziwne zachowanie się Mańki, starałem zbadać powody do szukania tej rozmowy ze mną. W tych warunkach jednakże do objektywnej analizy uczuć tak cudzych jak własnych nie byłem zdolny.

Tymczasem należało zająć się czem innem; za kilka dni mówiła Resi, przypadała rocznica jej urodzin; bez znaczenia nie było to powiedziane, należało się więc przygotować na tę uroczystość, przedewszystkiem znalezieniem odpowiedniego upominku. Idąc do miasta rozważałem nad tem, i z temi myślami zaszedłem do domu. W altance spostrzegłem znów Resi, jak wtenczas — zajętą robótką.

Resi, czy mówiłaś z matką? — były pierwsze moje słowa.

— A o czem miałam mówić? zapytała uśmiechając się zalotnie.

— O tem cośmy rano mówili.

— A cośmy mówili?... i podniósłszy główkę, nadstawiła koralowe usteczka tak zachęcająco, że trudno było oprzeć się pokusie. To też powtórzyły się tylko ranne czułości w słowie i czynie. A gdy już zabrakło mi prawie tchu, usiadłszy na ławce rzekłem poważnie:

— A może ja mam pierwszy pomówić z twoją matką?...

— Daj pokój jeszcze — czas na to znajdzie się stosowniejszy, może w środę w moje urodziny...

— Prawda twoje urodziny — przerwałem pospiesznie — mów Resi, czem mógłbym ci sprawić przyjemność, tak myślę i myślę, ale najlepiej ty powiesz...

— Mój drogi — rzekła przymilając się — nie łam sobie głowy, to rzecz najmniejsza... wiesz co bym chciała?...

— Powiedz najukochańsza!...

— Jeść w moje urodziny sarnią pieczeń.

— Sarnią pieczeń! — zawołałem, takiem niezwykłem kulinarnem życzeniem zaskoczony. Spodziewałem się wyrażenia zwykłych panieńskich zachcianek, rozmaitych słodyczy i biżuterji może, ale pieczeni — nie, nigdy...

— Ot, tak mi się zachciało.

— Pieczeń może się gdzie dostanie, nie tu, to w Gdańsku.

— Nie pieczeni — zawołała żywo, całego kozła chciałabym mieć; mam ciotkę w Bydgoszczy, drugą w Gniewie, tym się też coś należy ode mnie... nie?!... już o całą sarnę musisz się postarać i przecież nie będziesz kupował. . ty myśliwy!... taki wstyd. Parostki będą dla ciebie i pozostaną jako pamiątka pierwszych, wspólnie obchodzonych moich urodzin.

— Resi, czego ty żądasz? — zawołałem z wyrzutem.

— Czemu? co w tem niezwykłego? przecież tobie, jako leśnikowi nic łatwiejszego, jak zabić sarnę.

— Tak, ale nie mam polowania.

— Rumbaum pozwala obcym strzelać, a nie miałby pozwolić sekretarzowi nadleśnictwa?

— Zrobiłbym wszystko dla ciebie, co zechcesz, ale się zastanów, jakie to trudne, prawie niemożliwe; od forstmeistra mam żądać kozła, gdy ma zamówionych gości, którzy właśnie teraz na kozły polują? Choćbym i zapłacił tyle co oni, jakże mu to powiedzieć, jestem w urzędzie, a on mój przełożony?

— Wykręty i nic więcej...

— Słuchaj Resi, ja ci kupię co zechcesz.

— Nic nie chcę — i odwróciła się z niechęcią.

— Kupię ci pierścionek.

— Pierścionek, jak będą zaręczyny, to i tak dostanę.

— Ale prócz zaręczynowego, dam ci jeszcze drugi z kosztownym kamieniem, albo kolczyki, jeżeli wolisz, kupię ci tort jaki zechcesz i cukierki...

— Nic, nic, nie chcę!

— Resi!...

— To pierwsze moje życzenie i odmawiasz?

— Pomyśl co żądasz...

— Albo kozła, albo nic, zawołała rozdąsana.

Nie było sposobu, wiedziałem, że przy jej uporze żadne przemawianie do rozsądku nie odniesie skutku; to też przerwałem dalsze perswazje i udałem się znów do mego pokoju.

Należało coś postanowić. O odmowie, o odrzuceniu takiego żądania — jakby to człowiek rozsądny zrobił — nie myślałem. Zanadto byłem już pod wpływem tej dziewczyny, ażeby się oprzeć, chociażby to były życzenia kaprysu i nierozsądne zachcianki. Do uroczystości, która sprawić miała tyle nowej dla mnie

udręki, było już tylko pięć dni; skąd w tak krótkim czasie osiągnąć pozwolenie odstrzału. W najbliższej okolicy Kartuz nie ma innych polowań oprócz rządowych, któremi dysponuje już tylko nadleśniczy.

Całą moją nadzieję pokładałem w Jahnkem; wszakżesz on miał pozwolenie odstrzału dwóch kozłów w „królewskiem", mógłby mi jednego odstąpić. Wiedziałem, iż w poczciwości swojej nie odmówi mi tej przysługi. Jeszcze tego wieczoru udałem się do leśnictwa Kartuzkiego, ale tu mnie spotkał przykry zawód.

— Chętnie — mówił, kolego, zrobiłbym to dla ciebie, ale nie wiem czy wogóle pozostanie co do odstąpienia; Rumbaum, na moje żądanie oddania mi przyrzeczonych kozłów oświadczył krótko: „Dobrze, ale dopiero, aż ci tutaj odjadą" kpi sobie stary wyga, już przed rokiem to samo powiedział, a jak odjechali, nie było poczciwego parostka w lesie. Mam tu jednego — mówił dalej, w zwykły sobie sposób znacząco się uśmiechając — dobry co się nazywa; parostki, ot — conajmniej takie... (tu pokazał ręką okazałą wysokość), a uperlony... (tu aż cmoknął językiem z zachwytu) prawie pod kończyny. I ten ma iść do Brandenburgji?! — nie doczekanie ich... wychodzi dość późno, na granicy rewiru Dzierzążna na łąkę przy jeziorze...

— Przy krzywej brzozie — zauważyłem — widziałem go tam jednego wieczora, żerował nad samą trzciną.

— Tak jest, zwykle przez dzień w łozinie spoczywa, a wieczorem dopiero wychodzi; o tym mądralu nie raportowałem forstmeistrowi, dotąd też go te

„miejskie frakl" nie wytropiły, i mam nadzieję, że już go nie wytropi ta banda.

— A gdyby go teraz odstrzelić? — zauważyłem.

— Tegobym nie radził — odparł stanowczo — zdarzyła się tu przed rokiem podobna paskudna historja; przysłali z Gdańska do leśnictwa Smętowa urzędnika na zastępstwo, będącego na urlopie Krebsa — i ten nie mógł, jak tylu innych, na widok kapitalnego wstrzymać palca na cynglu. Rzecz się wydała i chociaż Rumbaumowi ja i drudzy koledzy dosyć perswadowali — oddał sprawę władzy. Jak słyszałem, źle się ta rzecz skończyła — wylali go z urzędu.

Z rzadką miną opuściłem hegemeistra.

Co tu robić? jak kozła dostać? z temi myślami wróciłem do domu, z niemi spędziłem nieprzespaną noc i z niemi poszedłem na drugi dzień do nadleśnictwa. Przeróżne kombinacje wydobycia się z tej matni zrodziły myśl nabycia kozła, może zabitego przez jednego z bankierów w nadleśnictwie, może w mieście Kartuzach lub w Gdańsku. Tamby się ostatecznie i trofeum jakie u puszkarza dostało, które jako przez siebie zdobyte, mógłbym się przed panną Dewitz pochwalić.

— Ale i te plany okazały się niewykonalne: Rumbaum z uzasadnieniem „iż kozły już są sprzedane", dał mi krótką odprawę; hotele w Kartuzach nie lepszy dały rezultat — wreszcie i podróż do Gdańska była daremną. Była tam do nabycia pieczeń i parostki w innym handlu — ale całego kozła nigdzie nie można było dostać.

Wróciwszy późnym wieczorem, zastałem na stole karteczkę:

Jeżeli spełnisz moje życzenie, o jedenastej będę u Ciebie. Resi.

I przyszła.

A w tej rozkosznej nocy powstała przysięga: będzie dla Ciebie, chociażbym go miał szukać w piekle.

VIII.

Na drugi dzień wstałem wcześniej niż zwykle — dostałem rozkaz stawienia się rychlej w biurze, aby wspólnie z forstmeistrem odbyć kilka terminów licytacyjnych. W sieni zwykle wisiał mój płaszcz i kapelusz — ale kapelusza nie było tym razem. Po chwili wniosła go Resi: był tak zakurzony — mówiła — wyczyściłam go...

— Jakaś ty dobra — pomyślałem.

Pani Dewitz wniosła śniadanie, znacząco uścisnąwszy mi rękę.

— Jesteś pan teraz zadowolony? — zapytała. —

O, tak, bardzo — pani to niezawodnie zasługa.

— Pewno, że moja — mówiłam, że to panieńskie kaprysy, które ostatecznie wybiłam jej z głowy. A najpiękniej będzie w środę — dodała z uśmiechem — przygotuj się pan na niespodziankę!

Z tych alluzji wnioskować było można, iż na ten dzień należy oczekiwać uroczystości familijnej, a przy

niej przygotowują się zdarzenia, w których i ja miałem odegrać wybitną rolę.

W nadleśnictwie spotkałem Rumbauma już siedzącego w powózce i zaraz też ruszyliśmy dalej. Terminy trwały prawie cały dzień; słońce już było na schyłku, gdy znaleźliśmy się znowu w miasteczku.

Nie wstępując do biura, pobiegłem do domu — nie było chwili do stracenia.

Byłem w dziwnym nastroju — w nienaturalnem podnieceniu. Gorączkowo zabrałem się do wyszukania potrzebnych przyborów: sztucer, naplecznik, lorneta ... tak — gdzie jest lorneta? Nie było jej, przecież zawsze wisiała w szafie, w futerale — codziennie ją widziałem — dzisiaj jej niema. . . Prawda, wczoraj powiesiłem ją na wieszadle, a na tym samym haku płaszcz — tak . . . tu jest pod płaszczem. Ale naboji niema!... Naboje leżały zawsze w szufladzie komody... tu, w lewym kącie — dziś ich niema!... i rękawiczek niema. . . Bez rękawiczek nad jeziorem niemożliwie obronić się przed komarami. Drżącą ręką przetrząsnąłem całą szufladę, jeden przedmiot za drugim — napróżno! Czy zły duch stroi swoje praktyki?! — Przeżegnałem się kilkakrotnie. . .

Wtem wpadła mi do ręki książka do nabożeństwa, otworzyłem ją mimowolnie, na pierwszej stronie znajdował się św. Eustachy. . . Bezwiednym instynktem i wpojonem mi nabożnem wychowaniem wiedziony, chwyciłem za obrazek:

Święty mój patronie! — zawołałem błagalnie — ulituj się nademną i dopomóż w ciężkiej chwili mego życia; wybaw z tak wielkiej opresji, absolwuj z prze-

winienia i grzechu, które zamierzam popełnić, a w które wplątałem się przez zły los i własną winę; oszczędź następstw i kary, na które zasłużyłem za te przewinienia...

Nigdy nie modliłem się jeszcze tak szczerze i z takiem nabożeństwem. I jak ów brygant włoski, który wybierając się na wyprawę zbójecką, całuje na rękojeści sztyletu zawieszony różaniec — tak i ja ze skruchą — mając bezbożne zamiary, całowałem drogą, rodzinną pamiątkę. I idąc temsamem bezwiednem uczuciem poddania się opiece św. Patrona, wyjąłem obrazek z książeczki i schowałem do kieszeni litewki.

Ten mnie uchroni od wszystkiego złego — pomyślałem.

Naboje i rękawiczki znalazłem ostatecznie w innej szufladzie; w rozstroju nerwowem, w jakiem się znajdowałem straciłem pamięć i naturalny bieg myśli.

Już blisko było zachodu słońca, gdy przechodziłem przez miasto; ani przybory myśliwskie, ani strzelba u mnie, nie mogły zwrócić niczyjej uwagi — leśnicy wszyscy, a ja porówno z nimi, nie wchodzili do lasu bez broni. Droga prowadziła mnie w kierunku kartuzkiego leśnictwa; omijając je zaraz za miastem zboczyłem do knieji.

Zapadał cichy letni wieczór, gdy zbliżyłem się do upatrzonego miejsca, do łąki położonej nad jeziorem, zarosłej w tem miejscu trzciną, roguziem i t. p. roślinami wodnemi. W miejscach takich przebywają chętnie sarny podczas letnich upałów i tutaj, wspomniany przez Jahnkego kozioł z pewnością miał swoje dzienne legowisko. Stała tam znana mi krzywa brzoza, a za nią rosła grupa jałowców, dając myśliwemu wystarczające

okrycie. Kilku gałązkami, odciętemi z pobliskich sosen, uzupełniłem jeszcze próżnię, zasłaniając z prawej i lewej strony stanowisko.

Plan mój był z góry starannie obmyślany: skoro kozioł padnie, wciągnąć go w zarośla, okryć gałązkami jedliny i z miejsca zabicia szybko podążyć do najbliższej drogi; w ten sposób mogłem najprędzej uniknąć zetknięcia się z jednym z leśników, zdążającym za odgłosem posłyszanego strzału.

Po kozła zamierzałem udać się dopiero w nocy łódką, znajdującą się w ogrodzie pani Dewitz, przepłynąc na drugą stronę jeziora i stamtąd ukrytego przewieść do domu.

Plan ten zdawał się najpewniejszym, a schwycenie, przynajmniej na gorącym uczynku, uważać należało za najmniej prawdopodobne.

W naturze była uroczysta cisza, nastrój gorącego lata; liść osiny nie poruszał się nawet na gałęzi, tylko daleki szmer miasta, pojedyńcze głosy nawoływań woźniców i turkot wozów, przeniesione wodą jeziora, dochodziły do mnie. W pobliskich zaroślach świegotały z cicha trzciniaki, toczyły zajmujące rozhowory dzikie kaczki i bąk gdzieś w oddali wydobywał donośne tony, glugocąc w błocie długim dziobem.

Ale czy wyjdzie ten, którego oczekiwałem? . . .

Niespokojne oczy moje biegały na wszystkie strony; nic się nie ruszało — tylko roje komarów ulatywały, brzęcząc nad głową, stada wron przeciągały nad wysokiemi chojarami i chowały się gdzieś w iglastych konarach; dzięcioł, co kołatał dziobem w robaczywe drzewo zaprzestał swych czynności a kos — wesołego gwizdu. Cała ptasia orkiestra, ukryta w łozach jeziora,

w leśnych gąszczach — umilkła nagle. Wszystko odczuwało coś niezwykłego w przyrodzie, zapowiedź jakiegoś przewrotu w powietrzu i wsłuchiwało się w daleki pomruk, co skądś dolatywał, jakoby dudnienie dalekiej jazdy, przeciągającej mostem.

Spojrzałem w górę, ale ponad drzewami przez gałęzie spoglądało czyste, słoneczne sklepienie. Jedna tylko mała czarna chmurka ciągnęła jak goniec szlakiem niebieskim.

Powietrze duszne i parne, połączone z niepokojem wewnętrznym, wywołanym tak niezwykłem i ryzykownem przedsięwzięciem, sprowadziło gęste krople potu na czoło. Szukałem chustki — nerwowo, jak zawsze — w jednej i drugiej kieszeni. . .

W tem dostaje mi się znów do ręki zapomniany już prawie obrazek ze św. Eustachym. Spostrzegam w jak nieodpowiedniem znajdował się miejscu; włożony bez żadnej ochrony do kieszeni płóciennej litewki, zauważam znaczne pogniecenie, nawet rozdarcie w jednem miejscu.

Myślę, gdzieby go lepiej umieścić? ach! tak, może w kapeluszu, pod podszewką. . . Odginam skórkę podszycia. . . W tem — wypada coś białego . . . długie i wąskie. . . Co to takiego? . . . Co to być może? Kartka! . . . — w moim kapeluszu, pod podszewką kartka! zapisana kartka! . . . na niej pismo drobne, kobiece. . .

W pierwszej chwili nic nie widzę — ćmi się mi w oczach. Wreszcie czytam:

„Kochany Hansi! Udało się — zabije kozła — może już dziś. . Uważajcie! Złapiecie kłusownika, pozbyliśmy się go raz na zawsze".

Co to znaczy? nie rozumiem... Co to za Hansi? Przewracam kartkę i na drugiej stronie widzę jakieś wyrazy:

„Kartkę odebrałem, ale wczoraj przybyć nie mogłem. Jutro stawię się o zwykłym czasie, w umówionem miejscu".

Jeszcze patrzę błędnie — jeszcze nie rozumiem. Czyje to pismo? Resi... na prawdę Teresy Dewitz?... czy dobrze czytałem, czy dobrze rozumiałem?! Czytam raz i drugi — tak jest, zawsze to samo... w moim kapeluszu takie poselstwo!...

I ja je nosiłem codziennie, jak listowy, jak posłaniec miejski — od Resi do Hansa, od Hansa do Resi — do tej Resi, z którą miały się odbyć za kilka dni moje zaręczyny... Teraz zrozumiałem, dlaczego kapelusz mój wywołał taki podziw w leśnictwie, a w mieszkaniu mojem doznawał takiej pielęgnacji. Zrozumiałem też, dopiero teraz — spór pomiędzy Rumbaumami, ojcem i synem, posłyszany zaraz w jednym z pierwszych dni pobytu mego w nadleśnictwie; — a więc to Resi Dewitz była tą „kaszubką", z którą forstmeister pod groźbą odjęcia weksla studenckiego zakazał synowi stosunku — a moralna pani Dewitz wolała mnie za zięcia niż adoratora Hansa Rumbaum — z alimentami. I ja im sam ułatwiałem stosunki, donosiłem o czasie i miejscu schadzki!...

Ha! ha! jakie to zabawne... jak się oni śmiać musieli ze mnie — głupiego Polaka! Ale jakie to jednocześnie i podłe — kozła kazała mi zabić, kłusownikiem chciała mnie zrobić — łajdakiem — złodziejem...

Teraz dopiero odczułem całą ohydę tego, co zamierzałem — pojąłem następstwa, jakie mnie spotkać

mogły — nikczemność tej histeryczki i nierządnicy, którą złym duchem nawiedziony kochałem bez zastanowienia i pamięci, dla której gotów byłem poświęcić wszystko, co człowiek ma najdroższego. Na tę szaloną, z grzechu powstałą, pustą miłość, którą tak długo napróżno w sobie wykorzenić i zniszczyć usiłowałem, niespodziewanie takie lekarstwo...

Nie wiem, jak opuściłem miejsce zamierzonej zasadzki, a jednocześnie — odkrycia haniebnego podstępu. Pędzony siłą wewnętrznego wzburzenia, nie słysząc — nie widząc, co się w koło działo, uciekałem co prędzej od miejsca, gdzie, zdawało się, mój grzeszny zamiar stał wypisany na każoem drzewie, wywoływał każdy ptak, wyśpiewywał każdy komar, co brzęczał nad uchem. Niezauważyłem zmroku, który niespodziewanie mnie otoczył, okrył łąki, las i pobrzeżne trzciny w jedną szarą oponę. Niesłyszałem dalekiego szumu i cichego pomruku, co odzywał się coraz wyraźniej. Wyniosły las koroną drzew, jakoby sklepieniem przykrywał firmament i nie pozwolił zauważyć, co przygotowało się w przyrodzie.

Pędziłem dalej jak z złem sumieniem uciekający winowajca, nie zważając co się działo. Wzrok stracił widocznie kontakt z mechanizmem organizmu ludzkiego i jednocześnie jego wolą i duszą. Oczy patrzały bezmyślnie, nic nie widząc, uszy straciły właściwość słyszenia, zmysły wszystkie pokryły się jakoby gdzieś do wzburzonego wnętrza, a duch sam pędził jakąś siłą ukrytą jak parowóz pod ogniem i parą sztucznego naprężenia.

W tem błysk i huk jednocześnie oślepił mi oczy i wzbudzając słuch zamarły swym łoskotem, ubez-

władnił na chwilę. Prąd wyładowującej się elektryczności był tak wielki, tak bliski, iż czułem jego uderzenie wstrząśniętym powietrzem, odczułem drżenie ziemi pod nogami. Pod jego siłą zachwiałem się i byłbym upadł, gdybym nie oparł się o najbliższe drzewo.

Po tym groźnym słowie przyrody zdawało się, iż las stanął w osłupieniu, nic się w nim nie ruszyło, nie spadła kropla deszczu, jakby zamarł oddech ziemi, jak mnie w piersiach z przerażenia. Zdawało się w tej ciszy, iż wszystko drży przed tym groźnym głosem przestrogi i boskiego gniewu, mniemałem, iż tak brzmiały słowa Jehowy, tak On przemawiał do Mojżesza na górze Synaji, gdy dyktował dziesiąte przykazanie na tablicy: „Nie pożądaj ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest. . ."

Pod wrażeniem tego głosu sumienia szedłem dalej, ale już wolno, ze skruchą, ze strachem prawie, jakobym spodziewał się drugiego piorunu z wyrokiem za zamiar przekroczenia przykazania boskiego.

W tem coś jaskrawego w szarej pomroce zamajaczyło przedemną na ziemi, narazie nie mogłem odróżnić ani kształtu, ani barwy przedmiotu, który tam leżał rozciągnięty. Pierwszą rzeczą, dającą się rozeznać, był koszyk w pół przewrócony, a przy nim garść grzybów rozrzucona. Koszyk ten już gdzieś widziałem, spostrzegam teraz i rękę co go trzyma. Dopiero wówczas zrozumiałem, że przedmioty te należą do jakiejś osoby, głową zwróconej do mnie, widzę warkocz z jasnych, złotych włosów rozpleciony i rozpuszczony na ziemi i suknię różową, szkarłatnym paskiem spiętą, wszystko dziwnie znajome i niedawno widziane.

— Boże ratuj ją! — zawołałem, nie każ i ją za moje przewinienie.

Zanim sprawdzić mogłem kogo widzę, kto tam leży bez ruchu, jakby martwy, dziwny ból ścisnął mi serce... Panna Marja! wyszło mi z ust... Marja Derdowska... ona tutaj! co się stało? I myśl o uderzeniu pioruna ubezwładniła mnie prawie. W jednej chwili znalazłem się przy niej — tak to ona — Mańka... Twarz okryta trupią białością, oczy przymknięte — te piękne oczy fiołkowe... Przejęty strasznym widokiem padłem na kolana, chwyciłem za rękę — opadła bezsilna, chwyciłem główkę w obydwie ręce, tę śliczną małą główkę — opuściła się bezwładnie... a przez usta nie wychodził oddech żaden. O Boże! — zawołałem i silnem szarpnięciem rozerwana bluzka na piersiach aż po pas, odsłoniła dziewiczy biust. Przyłożywszy głowę do piersi słuchałem... Słabe bicie serca... słabo, ale biło jeszcze...

— Boże! — ratuj ją — zawołałem.

Teraz dopiero uwolniony od obłędu namiętności do szatańskiej uwodzicielki zrozumiałem, czem była dla mnie ta, którą los nieszczęsny złożył teraz bezwładną, jakby za karę u moich nóg. Aby pobudzić krew do żywszego działania, zacząłem nacierać ręce, piersi, pochyliłem się nad twarzą i znów zbliżyłem się do tych ust świeżych, zwykle karminowych, a teraz zimnych, bladych i szukając oddechu, schwyciłem w dłonie główkę złotymi włosami okrytą.

— Mańko! mówię — droga Mańko — powtarzam najczulej — słyszysz mnie!... Święty Eustachy, ocaliłeś niegodnego, nie karz i jej za moje przewinienie!...

W szale wyrzutów sumienia i żalu oparłem twarz na twarz i całowałem bez pamięci policzki, oczy

i usta biednej a w tej chwili tak drogiej dziewczyny... I wpiłem się w te wargi, jakbym chciał przez nie znów natchnąć ducha, który z tego ciała uleciał.

W tem czuję, iż dzieje się coś niezwykłego — coś mnie chwyta za ramię, coś z lekka obejmuje ręką głowę... Gdym się oderwał i spojrzał z niemym podziwem, widzę dwoje ócz z w pół otwartych powiek, zwróconych na mnie — ócz biednych, bolejących jeszcze, ale już pełnych słodyczy i kochania.

* * *

Gdyśmy późnym wieczorem przybyli do miasta, na wszystkich słupach i domach wisiały, jak krwawe plamy, czerwone plakaty. Cesarz Wilhelm powoływał żelazne hufce do wojny światowej.

Minęło lat kilka, ciężkich i srogich, we wrogiej nam służbie po różnych placach boju, w różnych krajach, w walce, w rowach i w atakach, a tak donośnych w wypadki nietylko dziejowe, ale i mego życia.

Ciężka była walka fizyczna z orężem w ręku, ale cięższa walka serca, co jak czarna ospa pozostawia ślady przebytych cierpień. Jednak była i dobra: oczyściła ducha, utrwaliła siłę woli i charakteru w nieustalonej młodej naturze. I czułem, mimo przebytych walk odrodzenie duszy, zahartowanie ciała i uleczony byłem na zawsze.

I znów znalazłem się w służbie leśnej, ale już drogiej i kochanej Ojczyzny mojej. Z pomocą Bożą w puch rozbitą została potęga, która trzymała ducha narodu w niewoli, a synów jego w zależności i upodleniu. Znikli przedstawiciele tej potęgi z zamków, pałaców, gmachów państwowych, domków czerwonych

kolonistów i pól, które z rozkazu ich uprawiali niewolnicy — dawni panowie tej ziemi. Z lasów i dworków leśników znikli Rumbaumy, Szulze i Krebsy, uciekając z tej krainy kaszubskiej, której nigdy nie czuli się synami, której nigdy nie kochali — bo nie była ich matką.

Ostatni opuścił placówkę swoją — ukochaną leśniczówkę kartuzką z wychowankami swymi stary Jahnke. Gdy mu na dworcu w Kartuzach po raz ostatni ścisnąłem dłoń na pożegnanie rzekł:

— Wszystko w świecie idzie swoim logicznym porządkiem; ziemia się kula i narody się na niej kulają, raz są w słońcu, to znów w ciemności. Wam wynurzyło się z kaszubskiego morzą a nam znów zagasło. Oto skutki lichego posiewu: gdzie korzeń nie uwiązł głęboko tam drzewo łatwe do wyrwania — oby i wam to poszło na naukę! Dziś ustępujemy pod znakiem redde quod debes! (oddaj co wziąłeś). Z tym się musi pogodzić i stary Fryc w Poczdamie, nie przewróci się w grobie, gdy się dowie, że mu zabrano co nazwał „auch eine Gegend". Ale ja tę piaszczystą „okolicę" pokochałem szczerze, więc gdy mnie wyrwano razem z lichym drewnem, co po wierzchu rosło — przykro trochę i żal...

To mówiąc odwrócił się szybko i zniknął w wagonie pociągu.

W jednem z nadleśnictw państwowych założyłem moje ognisko domowe, a jeżeli zechcecie mnie odwiedzić w okrytym staremi pomorskiemi drzewami dworku, w pobliżu którego odzywa się w jesieni ryk jelenia i tok miłosny głuszca na wiosnę, znajdziecie

tam polskie, gościnne przyjęcie i młodą gospodynię, córkę rodowitą Kaszub — Mańkę moją najdroższą. Tam też możecie obejrzeć cenną i niezwykłą pamiątkę rodzinną — obrazek ze św. Eustachym. Wiara w Jego pomoc jest teraz niewzruszoną. On sam zaś pozostanie w wiecznej czci i pamięci u nas, bo wyszukał i dał mi dobrą niewiastę, od złej uchronił, a od strasznej hańby wybawił!

KONIEC.

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA

RYNEK DRZEWNY I BUDOWLANY

Organ dla handlu i przemysłu drzewnego i budowlanego X. rok istnienia. Wychodzi 3 × w tygodniu. Żądajcie numerów okazowych

PRZEGLĄD LEŚNICZY

Czasopismo miesięczne dla leśników rok zał. 1876 Wychodzi co 15. każdego miesiąca. Najskuteczniejszy organ ogł. Numery okazowe bezpłatnie

Składnica narzędzi leśnych i ogrodniczych. Wysyła katalogi na żądanie.

Składnica nasion leśnych dostarcza wszelkie nasiona drzew iglastych, liściastych i ozdobnych, pochodzenia krajowego i zagranicznego.

Składnica formularzy leśnych i tartacznych dostarcza wszelkie formularze do książkowości tartacznej oraz leśnej.

Dział żywej zwierzyny dostarcza zające do odświeżania krwi pochodzenia węgierskiego, jugosłowjańskiego, kuropatwy, bażanty cietrzewie, głuszcze, indyki, króliki, sarny, daniele, jelenie, muflony dziki, lisy i puhacze.

Drukarnia wykonuje szybko i starannie po cenach przystępnych wszelkie zamówienia na formularze, kwity, asygnaty, bloki, karty wizytowe, zaproszenia, afisze oraz dzieła każdego rodzaju.

Dział wydawnictw poleca Tabelę kubiczną Kormana, Tabelę kubiczną Kamieńskiego, Dawne spory o własność i służebność w Tatrach M. A. Liberaka, Dąbrowy Białowieży J. Paczoskiego, Luźne kartki Z. Hryniewieckiego, Znaczenie pochodzenia nasion w gospodarstwie leśnem H. Wyrwińskiego, Krótki zarys o pomiarze drzew i drzewostanów W. A. Łuczkiewicza, Rok myśliwego Korsaka, Łowiectwo Stolcmana, Polująca Pani W. J. Połczyńskiego, Cele zasady i rodzaje doświadczalnictwa użytkowego F. Bonasewicza Wyróbka drewna Bonasewicza, Darz Bór kalendarz leśny, Kalendarz Myśliwski J. Ejsmonda, Zarys miernictwa elementarnego W. A. Łuczkiewicza, Kalendarz leśny informacyjny, Słownik Leśniczy Małaczyńskiego, Metodyka nauczania F. Bonasewicza, Kwestja drzewna w Polsce Inż. Barańskiego, A. Proot ot Vtilising, Prawo Łowieckie Dr. W. Kałuskiego, Estetyka Łowiectwa W. J. Połczyńskiego.

ADMINISTRACJA

„PRZEGLĄDU LEŚNICZEGO i RYNKU DRZEWNEGO"

POZNAŃ, WIELKIE GARBARY 20

TELEF. 1820 i 3406.

BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Lotniczego
Nr 51 / 101 Ernst
2057.